MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 39. WARSZAWA, 10 WRZEŚNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

CHŁOP POLSKI

W WARSTWACH oświeconych ostatnich kilkudziesięciu lat mieliśmy rozmaite nastroje i prądy w stosunku do chłopa polskiego, który po otrzymaniu praw i politycznych zaczął wyciskać swoje piętno na charakterze całego narodu i oddziaływać coraz silniej na dzieje Polski. Jedni lud wyzyskiwali dla porachunków z warstwą szlachecką; inni znowu uprawiali ckliwe chłopomaństwo. Zjawili się wreszcie i tacy, którzy patrzyli na siły, tkwiące w ludzie, realnie i widzieli w nim czynnik, który przetworzy ustrój społeczny narodu polskiego i uczyni zeń naprawdę nowoczesną zbiorowość. Kiedy sytuacja Polski zdawała się beznadziejna, zwrócono uwagę na lud i pojawienie się jego na widowni powitano, jako zapowiedź odrodzenia narodu. Jeden z najznakomitszych synów wsi polskiej, Jan Kasprowicz, w roku 1888 pisał:

„Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Niby w popiole skra ukryta:
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę skrę Bożą, aż łun spłonie wstęgą..."

Jakże daleko, nietylko latami, ale przedewszystkiem treścią, jesteśmy od słów, wypowiedzianych przez wielkiego poetę, syna ludu z nad Gopła! Lud już nie jest siłą „ukrytą w popiele", którąby trzeba czyjemś dmuchaniem do życia powoływać. W kilkanaście lat zaledwie od wypowiedzenia powyższych słów przez Kasprowicza, Roman Dmowski w „Myślach nowoczesnego Polaka" stwierdzał: „Jeżeli można powiedzieć, że powalona na ziemię i skrępowana od stulecia Polska zaczyna się poruszać na nowo, to głównym momentem właśnie jest tu ruch masy ludowej, młodej, żywotnej, dorabiającej się, pierwszemi, obudzonemi z uśpienia siłami rwącej się do życia. Nie jest to właściwie odradzanie się starej Polski, ale powstawanie nowej z nieruchomych przez wieki pokładów". Chłop rzeczywiście wtargnął na widownię dziejową Polski, jak żywioł, jak lawina. I dokonał przez te 50 lat zupełnego przewrotu w strukturze społecznej narodu, a zarazem przetworzył siebie i przyswoił sobie pewne pierwiastki kultury historycznej, którą stworzyła szlachta.

Jeżelibyśmy uważnie przypatrzyli się przemianom, przez jakie przeszło społeczeństwo polskie w ostatniem półwieczu, to musielibyśmy przyjść do przekonania, iż dzieje tego okresu tworzył już w znacznej mierze lud. Chłop polski w Wielkopolsce i na Pomorzu bronił ziemi wprost pazurami. Chłop wytworzył w tych dzielnicach mieszczaństwo polskie, które wyparło najpierw Żydów, a później już w niepodległej Polsce i Niemców. W Galicji dawnej lud wiejski dostarczył głównego kontyngentu inteligencji, a zarazem kolonizował powoli, ale systematycznie, ziemię Czerwieńską. W Kongresówce rozwinął się większy przemysł i tutaj żywioł robotniczy, fabryczny powstał z mas ludowych wiejskich. We wszystkich więc dzielnicach Polski dokonywał się proces przekształcania narodu na nowy organizm społeczny, dzięki ludowi polskiemu, dzięki chłopu.

Nietylko wewnątrz kraju lud przetwarza dotychczasowy nasz układ społeczny, ale równocześnie organizuje on potężne wychodźtwo polskie za oceanem. Wychodźtwo to zasiliło wieś polską kapitałami, które odegrały ogromną rolę w życiu gospodarczem polskiego chłopa i całego narodu, we wszystkich dzielnicach. Podczas wielkiej wojny wychodźtwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej wsparło finansowo i moralnie politykę narodową, która zaprowadziła Polskę w szeregi państw zwycięskich i do Wersalu. Wychodźtwo to zorganizowało pierwsze oddziały Armji Błękitnej.

W niepodległej już Polsce lud wiejski zaważył silnie na jej losach. Wprawdzie w tym ostatnim bilansie są i pozycje ujemne, ale właściwą za nie odpowiedzialność ponoszą nie chłopi, jako masa, ale przywódcy chłopskich stronnictw klasowych, ulegający wpływom ideowym socjalizmu. Jednak stanowisko chłopa polskiego w roku 1920, w czasie najazdu bolszewickiego, jeszcze raz wykazało, iż lud w pełni już czuje się współtwórcą historji państwa i na-

rodu polskiego. Z tego, iż warstwa chłopska świeżo dopiero ukazała się na widowni dziejowej, wynikały pewne błędy, niezdecydowanie i brak wyraźnej, konsekwentnej linji w polityce tych, którzy uważali się za jej reprezentantów. Te rzeczy jednak już ulegają zmianie przez to, iż masy wiejskie w swojej przewadze coraz wyraźniej i odważniej zrywają z ideologją klasową. Wieśniacy we wszystkich dzielnicach przechylają się ku programowi narodowemu, co uwidocznia się w napływie włościan w szeregi organizacyj narodowych, jak i w przyswajaniu sobie zasad ideologji narodowej przez niektóre grupy t. zw. ruchu ludowego. Przez to, iż masy włościańskie wytworzyły inne warstwy i zarazem rozwinęły się kulturalnie, nie wystarczy im hasło klasowe, bo dochodzą one do przekonania, że to hasło żadnego zagadnienia nie rozwiąże i nie posunie losów Polski i ich własnych ani o krok naprzód. Widoczne są objawy, iż chłop polski dojrzał już zupełnie i coraz liczniejsze masy ludowe przychodzą do przekonania, iż one właśnie muszą się stać podwaliną i główną siłą państwa, które według swoich założeń przetworzy prąd narodowy.

Chłop polski w dalszym ciągu będzie przekształcał strukturę społeczną narodu, bo nie we wszystkich dzielnicach dokonał się ten proces w jednakowej mierze. Tak jak w Wielkopolsce i na Pomorzu, lud wiejski musi na całym obszarze polskim wytworzyć mieszczaństwo rodzime. Tego wymaga interes wsi i całego narodu. W tym kierunku możliwa jest jeszcze wielka ekspansja ludu, inne dziedziny są obecnie raczej zamknięte i niedostępne. Pozatem jednak w nadchodzącej erze dziejów przedewszystkiem wieś sama, jako komórka organizmu społecznego i gospodarczego, odegra wielką i nową rolę. We wszystkich państwach europejskich słyszymy dziś hasło: nawrotu do wsi. Jest to wynikiem bankructwa systemu wielko-przemysłowego i jest objawem zrozumienia, iż nadchodzi okres dekoncentracji życia gospodarczego, umysłowego i politycznego. Da się to dokonać przez przesunięcie niektórych czynności organizacyjnych z miast na wieś. Do tego zmusza przedewszystkiem kryzys ekonomiczny i ujemne następstwa szalonego tempa życia wielkomiejskiego, które niszczy nerwy i równowagę umysłową i moralną narodów. Wieś odegra wielką rolę, jako czynnik, przywracający harmonję we wszystkich dziedzinach życia.

Wieś polska — to przedewszystkiem chłopi. Dwór nie posiada już dotychczasowego znaczenia. Wynikło to z trudnych warunków gospodarczych większych obszarów ziemskich, a przedewszystkiem z wyrzeczenia się przez olbrzymią przewagę ziemian samodzielności i zbyt łatwego, zbyt plastycznego przystosowywania się ich do każdorazowych zmian warunków politycznych. Pozostaje więc na wsi lud, z nielicznymi stosunkowo reprezentantami zdrowej, ziemiańskiej warstwy oświeconej. Trzeba przyznać, iż lud ma pierwszorzędne wartości i cnoty, które zapowiadają, że dobrze się stanie, jeżeli wieś będzie odgrywała większą rolę w organizacji państwa i narodu. Chłop polski przedewszystkiem jest wprost mistycznie przywiązany do ziemi i kocha ją ponad wszystko. Lud nasz szanuje hierarchję społeczną chociaż równocześnie ceni wysoko wolność osobistą i swoją godność ludzką. Wiara ojców i głębokie zasady religijne tkwią w jego instynktach. Do instytucji rodziny są masy chłopskie przywiązane i widzą w niej główną więź ładu społecznego. Chłop posiada silne poczucie życia gromadzkiego i gromada dla niego — to wielka rzecz. To poczucie gromadzkie może łatwo przedłużyć się i rozwinąć do zrozumienia solidarności narodowej. Przez swoją twardość, a nawet przez pewien materjalizm, chłop polski usunie ujemne cechy narodowe, które objawiały się w ckliwości, rozleniwieniu i w niechęci do walki z przeciwnościami. Chłop borykać się lubi i borykanie uważa za swoje przyrodzone posłannictwo. Przy tem wszystkiem lud ma wśród siebie najmniejszy proces przymieszki krwi obcej. Wprawdzie i na wsi polskiej odbywało się krzyżowanie plemion i narodów, a nawet ras, ale taki niepożądany żywioł, jak żydzi, w tem krzyżowaniu był całkowicie nieobecny. Wprawdzie poziom cywilizacyjny chłopa polskiego jest naogół niski i są olbrzymie pod tym względem różnice pomiędzy poszczególnemi dzielnicami. I tutaj jednak widzimy olbrzymi postęp. Państwo, szkoła polska, wojsko polskie — robią swoje. Poseł Zieliński, b. konsul generalny w Berlinie, opowiadał mi razu, iż Niemcy, który przed wojną zajmowali się sprawą polskich robotników sezonowych, przybywających tam do pracy na roli, i którzy dzisiaj obserwują tychże samych robotników, przybywających z tych samych okolic Polski, stwierdzają, iż istnieje niezaprzeczona różnica między robotnikiem polskim przedwojennym, a obecnym. Robotnik sezonowy, przybywający do Niemiec z Polski, stoi obecnie pod każdym względem znacznie wyżej od przedwojennego. My tego nie zauważyliśmy, ponieważ patrzymy na proces ten codziennie. Obcych jednak przemiany te biją wprost w oczy. Napewno proces ten trwać będzie dalej.

Najtrudniej pójdzie sprawa przebudowy gospodarczej samej wsi polskiej. Większość bowiem ziem państwa polskiego posiada gospodarstwa włościańskie karłowate. Nawet po rozparcelowaniu wszystkich wielkich obszarów, nie starczyłoby ziemi na obdzielenie. W tej dziedzinie trzeba będzie wielkiego wysiłku, ażeby ze wsi uczynić zdrowy organizm gospodarczy i społeczny. Będzie można tego dokonać przez dalszą parcelację i przez kolonizację ziem wschodnich z jednej strony, a z drugiej — przez wypieranie żydów z miast i przez tworzenie warstwy mieszczańskiej z włościan. Emigracja zewnętrzna, odpływ do wielkiego przemysłu i do zawodów inteligenckich, są dziś raczej zatamowane i przez dłuższy okres historji już na większą skalę nie będą możliwe. Ustawodawstwo musi powstrzymać rozdrobnianie gospodarstw wiejskich, a także z całą energją należy dążyć do likwidacji gospodarstw karłowatych. Wreszcie zmiana w gatunkach produkowanych na wsi wytworów powinna zwiększyć dochód wsi. Przedewszystkiem należy wytężyć wysiłki, aby wieś wytwarzała surowce, które są potrzebne dla wyrobu odzieży. Bawełna i wełna zagraniczna zalewają Polskę, a ludność nasza na wsi za bezcen sprzedaje swoje towary rolnicze. Na tem polu możemy dojść do wielkich wyników. Także rozwinięcie przemysłu ludowego w pewnej części poprawi dolę wieśniaka.

Obecnie świat idzie znowu w kierunku organizacji zawodów i stanów. Wieś w tej organizacji zajmie u nas niewątpiiwie pierwsze miejsce. Potrzeba tylko wytworzyć inteligencję chłopską, która będzie taką nie dlatego, że wsi pochodzi, ale że po otrzymaniu odpowiednio zreformowanego wykształcenia powróci do warsztatów swoich ojców i tak jak oni pracować będzie na zagonie. To wytworzy ze wsi

organizm całkowity i pozwoli jej na odegranie wielkiej roli w uporządkowaniu fermentu ideowego, umysłowego i politycznego, jaki dzisiaj istnieje i w narodzie polskim.

Wszystkie wielkie ruchy w Europie, które przebudowują dziś życie polityczne według zasad narodowych, oparły się na masach chłopskich i robotniczych. W tej chwili chłop polski jest większą siłą, niż w okresie, kiedy Wyspiański pisał „Chłop potęgą jest i basta“.

JÓZEF PETRYCKI

MOTYWY DZIAŁANIA GOSPODARCZEGO

PODSTAWOWYM błędem szkoły liberalnej w ekonomji, a za nią szkoły socjalistycznej, była ich zasada metodologiczna, nakazująca odrębne od całości życia społecznego rozpatrywanie zjawisk gospodarczych. Ten sam błąd popełniono w dziedzinie motywów działania gospodarczego, które rozpatrywano w oderwaniu od motywów działania ludzkiego wogóle.

Najgłębszych motywów działania ludzkiego szukać należy w dziedzinie instynktów. Do najważniejszych należą: 1) instynkty samozachowawcze, 2) instynkty władcze, 3) instynkty społeczne.

Instynkty samozachowawcze pchają człowieka do obrony własnego istnienia i do obrony istnienia jego rodziny, która jest niejako przedłużeniem jego fizycznego bytu.

Człowiekowi jednak nie wystarcza obrona istnienia swego i swoich bliskich. Człowiek, pchany przez instynkty władcze, dąży do podporządkowania sobie otaczającego go środowiska. Chce je podporządkować po to, by módz je urządzić według zasad przez siebie wyznawnych, a więc według zasad, jakie tkwią w nim samym. Tak więc instynkty władcze są jednocześnie instynktami twórczemi.

Człowiek jest istotą z natury swojej społeczną. Chce on zapewnić istnienie nietylko sobie lub swoim najbliższym, ale również tej grupie społecznej, która go stworzyła, której jest wyrazem i częścią składową. Jednocześnie człowiek jest przywiązany nie tylko do tego, co sam stworzył, ale do tego, co stworzyli ludzie do niego podobni, według tego samego typu, jakby on to sam tworzył, i do ludzi, którzy tworzą w sposób podobny do niego. Społeczeństwo jest w ten sposób wspólnotą twórczą; instynkty społeczne pchają człowieka do obrony tej spólnoty. Przymus stosowany w ciągu wielu pokoleń przyzwyczaił człowieka do podporządkowywania innych instynktów instynktom społecznym.

Działalność gospodarcza polega na tworzeniu dóbr materjalnych, potrzebnych społeczeństwom i stanowiącym ich część składową jednostkom do istnienia i rozwoju. Ścisłe odgraniczenie działalności gospodarczej od innych dziedzin działalności ludzkiej nie da się zatem przeprowadzić, gdyż trudno powiedzieć, gdzie się kończą dobra materjalne, a gdzie zaczynają dobra duchowe (np. do jakiej dziedziny należą wytwory przemysłu artystycznego, usługi adwokata, pośrednika handlowego i t. p.). Jest to jeszcze jeden wzgląd, który nie pozwala na odrywanie nauk ekonomicznych od innych nauk społecznych.

Instynkt samozachowawczy pcha człowieka do zdobywania dóbr materjalnych, by zapewnić sobie i swoim bliskim możność bytu. Chodzi tu nie tylko o zapewnienie bytu fizycznego, ale i bytu duchowego na poziomie właściwym dla danego człowieka, a więc o zapewnienie dóbr materjalnych, któreby dawały człowiekowi możność postępowania stosownie do jego instynktów władczych i społecznych. Z punktu widzenia społecznego jedynem, z punktu widzenia jednostki głównem źródłem zdobywania dóbr materjalnych jest działalność gospodarcza. Dlatego jednym z głównych motywów działalności gospodarczej jest instynkt samozachowawczy człowieka.

W działalności gospodarczej wszakże są rzeczą istotną nie tylko dobra materjalne, które są wynikiem tej działalności, ale również działalność sama, będąca aktem twórczym, analogicznym do aktów twórczych, odbywających się przy powstawaniu dóbr duchowych. Instynkty władcze, które, jak wiadomo, są jednocześnie instynktami twórczemi, są bardzo ważnym motywem działalności gospodarczej. Człowiek uprawia działalność gospodarczą nie tylko dlatego, by zdobyć dobra materjalne, potrzebne dla jego istnienia, ale dlatego, że sam akt tworzenia daje mu zadowolenie i że dąży on do przekształcenia środowiska według swojej woli.

Instynkty społeczne tylko w wyjątkowych wypadkach, przynajmniej jeśli chodzi o społeczeństwa o kulturze europejskiej, są bezpośrednim motywem działalności gospodarczej. Natomiast instynkty społeczne zakreślają ramy, w których działalność gospodarcza winna się odbywać, wskazują granice, których instynktowi samozachowawczemu, pchającemu człowieka do zdobywania dóbr, nie wolno przekroczyć.

Pod wpływem szkoły liberalnej, odrywającej nauki gospodarcze od innych nauk społecznych i wysuwającej pojęcie teoretycznego „*homo oeconomicus*“ uważa się dziś za jedyny niemal motyw działania gospodarczego dążenie do zysku. Dążenie do zysku jest pewną formą instynktu samozachowawczego człowieka. Wygospodarowany bowiem zysk, który jest nadwyżką wartości dóbr, będących wynikiem danego procesu gospodarczego, nad kosztami tego procesu gospodarczego, jest obok płacy za pracę środkiem, który daje podmiotowi gospodarując niezbędne dla niego dobra materjalne. Dążenie zaś do zysku, dającego jednostce do dyspozycji te dobra materjalne, powinno właściwie być dążeniem do spełniania tych celów, dla który dobra materjalne są potrzebne. Istotną pobudką działania ludzkiego jest nie chęć zysku, tylko instynkt samozachowawczy w najszerszem tego słowa znaczeniu. Pod wpływem teorji liberalnej dążenie do zysku przestało być specyficzną formą instynktu samozachowawczego i stało się celem samym w sobie. Otrzymanie do dyspozycji dóbr materjalnych w jak największej wartości obiegowej przyświecało niemal wszystkim środkom gospodarczym. Jednocześnie najwybitniejsi teoretycy podkreślali, że dążenie to jest z istoty swojej dążeaiem moralnem i nie powinno być krępowane. Początkowo dało to dobre rozultaty w postaci niezwykle szybkiego zwiększenia się bogactwa. W krótkim jednak czasie zaczęło to wpływać w sposób rozkładowy na społeczeństwo, przedewszystkiem

przez niszczenie instynktów społecznych, które normowały działalność gospodarczą jednostki.

Postawienie dążenia do zysku jako takiego, jako zasadniczej, moralnie usprawiedliwionej pobudki działania ludzkiego w dziedzinie gospodarczej, pociągało za sobą rozszerzanie się potrzeb ludzkich, które zysk ten miał zaspokajać. Dawniej instynkt samozachowawczy pchał człowieka do zaspokojenia przedewszystkiem tych potrzeb, które on już posiadał. Rozszerzanie się ich odbywało się stosunkowo wolno. W okresie liberalizmu, pod wpływem dążenia człowieka do jaknajwiększego zysku i szybko wzrastającego bogactwa, potrzeby ludzkie, w znacznym stopniu materjalne, rozszerzyły się niepomiernie i zmusiły człowieka do takich wysiłków gospodarczych, które go całkiem absorbowały i uniemożliwiały mu spełnianie jego obowiązków, jako członka społeczeństwa.

Pozostaje jeszcze pytanie, jaki jest stosunek między instynktami samozachowawczemi i instynktami społecznemi, czy instynkty te muszą być zbieżne, a jeśli nie, które z nich są silniejsze. Mylna jest, jakeśmy to obszernie na tych łamach wyjaśniali, teorja solidaryzmu społecznego, który twierdzi, że interes jednostki, a więc jej instynkt zachowawczy, jest zawsze zgodny z interesem ogólnym, wysuwanym przez instynkt społeczny i że interesy poszczególnych jednostek w danem społeczeństwie są w istocie rzeczy jednakowe, różnice zaś, jakie zachodzą, są wynikiem złego pojmowania tych interesów przez jednostkę. Sprzeczności tych interesów i wyrażających je instynktów są czemś realnem i nawet normalnem, zaś w wypadku sprzeczności między interesem jednostki a społeczności nie zawsze w psychice jednostki bierze górę instynkt społeczny nad instynktem samozachowawczym. To też zadaniem państwa jest w drodze przymusu doprowadzenie niesfornych jednostek do podporządkowania swych indywidualnych interesów interesowi zbiorowemu.

J. PRUS

KARTKA Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO W POLSCE

(Ciąg dalszy)

7. KÓŁKA KONSPIRACYJNE SZKOLNE

Po TYCH pierwszych usiłowaniach spiskowych, nastąpiły już w 5-ej klasie, gdy uciemiężenie nas w szkole nie ustawało, organizacyjne pomysły tworzenia tajnych kółek, żeby wzmocnić samowiedzę naszą polską i wobec wykluczenia zupełnego nauki polskiego i historji polskiej, uzupełnić nasze bardzo marne wiadomości z polskiego życia dawnego i obecnego. Tematy naszych odczytów, rozpraw i dyskusyj były bardzo rozmaite. Pamiętam, że mówiłem raz o Statucie Wiślickim, potem znów o Komisji Edukacyjnej, a równocześnie prawie o Wolnomularstwie, które nas zaciekawiało, jako tajny związek, a mniej jego cele. Każdy członek kółka musiał mieć swój odczyt, swoje opracowanie; to zmuszało do szukania źródeł, a więc ksiażek polskich, których w bibljotece szkolnej nie było, trzeba było ich szukać u rodziców, krewnych, znajomych, przyczem zaznajamialiśmy się przygodnie z innemi książkami, co znów pobudzało do nowych rozprawek. Zapał był duży, polszczyzna kiepska, przetykana rusycyzmami, bo inną być nie mogła, ale uczyliśmy się praktycznie pisać po polsku, bo w szkole nieobowiązkowa nauka polskiego języka polegała tylko na tłumaczeniu w klasie z rosyjskiego na polski i odwrotnie — gramatyki nas nie uczono, nie była w programie. Uczyli u nas polskiego nauczyciele już wyranżerowani i zdeklasowani wogóle z grona nauczycielskiego, którzy dożywali swoich ostatnich lat przed emeryturą na tem zajęciu, uważanem w hierarchji szkolnej za najniższe, bo nie mające żadnego wpływu na stopień, na promocje i dla uczniów nieobowiązkowe. Czasem wykładali nawet ludzie, dawniej w hierarchji nauczycielskiej wysoko stojący, ale którym, jako Polakom, dożywającym swoich lat nauczycielskich, tylko tę naukę nieobowiązkową powierzano, oczywiście pod grozą, że jeżeli będą starali się robić coś konkretnego dla uczniów z tej nauki, to ich z miejsca „wyleją". Pamiętam zacnego prof. Koszkę, dawniej gdzieś dyrektora gimnazjum, którego do Lublina dla tej funkcji nauczania polskiego przenieśli: człowiek bardzo wykształcony, dusił w tem niewdzięcznem zajęciu, próbował z niego wyjść, ale Siengalawicz, który lubił częstą kontrolę tych lekcyj, z miejsca go osadzał. Człowiek stary, zgnębiony i sterany życiem, dożywujący swoich dni, nie mógł takiej walce o właściwe prowadzenie nauki języka polskiego podołać, dał więc pokój wszelkim próbom, to też lekcje upływały niesłychanie nudnie na tych tłumaczeniach, okraszone czasem jakiemś historycznem wspomnieniem, ale niezmiernie ostrożnem, bo mógł wśród uczniów znaleźć się jakiś szpieg i donieść dyrektorowi. Jednakże, pomimo tak nizkiego stanu nauczania języka polskiego, uważaliśmy sam fakt istnienia w programie szkolnym tego przedmiotu za tak ważny i cenny, że bojąc się, iż w razie braku chętnych (przedmiot był nieobowiązkowy) może być język polski z programu usunięty, staraliśmy się chodzić pilnie na te nudne godziny. Nawet w 6-ej i 7-ej klasie wybraliśmy specjalną komisję do spraw języka polskiego, która miała czuwać nad regularnem uczęszczaniem na te lekcje wszystkich uczniów Polaków i karać ich cieleśnie w razie nieuczęszczania, o czem nawet i poważniej i żartem mówiliśmy w pisemku naszem szkolnem „Ognisko Koleżeńskie" (z 1884 r.).

Te kółka samokształceniowe, tylko w kierunku wyrobienia się w duchu narodowym, powstały w 1880 roku, gdy byłem już w 5-ej klasie. Parło nas do tego przekonanie, że nie umiemy po polsku, nic nie wiemy o sprawach narodowych, a stąd i wstyd, że się tak dzieje, a zarazem parła nas i niepohamowana ochota do przeciwstawienia się temu ciemiężeniu z góry idącemu — przez znalezienie się choć raz na tydzień w swobodniejszej atmosferze, w wolnej wymianie myśli, którą może dać — w tych warunkach — tylko konspiracja. Konspiracyjne te zebrania zapalały nas do kształcenia się i wyrobienia z siebie działaczy narodowych, wyrabiały w nas nawet coraz większą zaciętość.

Powiał inny duch — zamiast dotychczasowego zgnębienia i udręczenia zaczęto pogodniej patrzeć na świat, zaczęto patrzeć na tych naszych codziennych szkolnych ciemiężców coraz śmielej, odporniej, pojawiały się jakieś nieznane dotąd odruchy śmiałości, jeszcze bardzo rzadkie i nikłe, ale przedtem nigdy nie zaznaczane, jakieś próby solidarnych wystąpień, przedtem zupełnie niemożliwe, reagowania na codzienne, dotychczas milczeniem pomijane, ugodowe, lojalne uniżania się starszych osób — pamiętam, jaki zapał i ogień wszystkich uczniaków od niższych do wyższych klas ogarnął, gdy nowomianowany katechetą ks. Roman Swidziński, wychowaniec Akademji katolickiej w Petersburgu, (który zapewne dzięki tym petersburskim wpływom Akademji to stanowisko otrzymał), zakazał nam na pierwszej lekcji, powołując się, że wykład religji miał się odbywać po polsku, odmawiać pacierz przed lekcjami i po lekcjach po rosyjsku i nakazał mówić go po polsku. Dawniej byłoby niemożliwe przeprowadzić tu jednolite stanowisko wśród uczniów: było dużo „strachajłów", który zwłaszcza pod wpływem bojaźni swoich domów, obawialiby się w czemśkolwiek takiem uczestniczyć. Teraz wpływ członków kółka naszego był już tak silny i dobitny, że i oni nawet scichli i dali się pociągnąć biernie do wspólnego kroku. Wszędzie, we wszystkich klasach następnego dnia modlitwa poranna została odmówiona po polsku, ku osłupieniu nauczycieli Moskali, którzy nie mogli się połapać, co się stało, ale nawet nie wystąpili z zakazem — tak byli tą modlitwą polską, niesłyszaną już od kilku lat, zaskoczeni. Po tej porannej lekcji — następna lekcja się nie odbyła, bo nauczyciele Rosjanie złożyli raport dyrektorowi, a ten zwołał Radę pedagogiczną, gdzie, jak słyszeliśmy, swoim zwyczajem napadł brutalnie na ks. Swidzińskiego, chcąc go, jak zwykle, sterroryzować. Ale ten spokojnie wysłuchał tej inwektywy i odparł, że jako kapłan katolicki musi tak, a nie inaczej postąpić, i musi bronić praw Kościoła katolickiego. I pierwszy raz dyrektor ustąpił, próbował tłumaczyć uczniom we wszystkich klasach, że nastąpiło tu jakieś nieporozumienie, że ks. Swidziński, nakazując nam modlitwę polską, myślał tylko o tem, gdy pierwsza godzina jest lekcją religji, że przecież nie mogą prawosławni i żydzi—uczniowie odmawiać modlitwy polskiej, ale myśmy i te małe uczniaki z niższych klas zgodnie odpowiadali, że mamy takie polecenie od ks. katechety i jako katolicy, w rzeczach religji mu posłuszni, musimy to zrobić. I tak też pozostało: mówiliśmy tę modlitwę po polsku, tylko nie zmuszaliśmy prawosławnych i żydów do jej odmawiania. To pierwsze zwycięstwo podniosło nas na duchu i wzbudziło wielką popularność ks. Swidzińskiego: czuliśmy, że mamy kogoś, kto tych skromnych praw polskości choćby w religji, chce i umie bronić. I gdyby ks. Swidziński w tym charakterze obrońcy polskości w kościele i religji, która odtąd była także już wykładana po polsku, utrzymał się i potem, a nie wkroczył na pole dociekań, czy dostatecznie jesteśmy religijni (byliśmy wszyscy przeważnie religijni, choć z niejednakową siłą, a czasem, jak to bywa w tym wieku, sceptyczni), i łagodniej te sprawy wątpliwości religijnych traktował, to zapał i zaufanie do niego byłyby niewzruszone, ale było nieraz, i raczej z jego strony, może zbyt wiele niewyrozumiałości, stąd też stosunki zaufania nieco się popsuły, choć zawsze czuliśmy i czciliśmy w nim nieustraszonego wyznawcę i obrońcę wiary „polskiej".

Ten incydent solidarnego wystąpienia z modlitwą polską, przedtem niemożliwy, zwrócił uwagę dyrektora, że coś się dzieje przed nim ukrytego, co wyłamuje się z pod jego władzy.

Ale taka już tresura w konspiracji była osiągnięta, że nic dociec nawet przez swoich uczniowskich szpiegów nie potrafił.

Kółko coraz bardziej powiększało się: zaczęte w 5-ej klasie (1880 r.), gdy przeszedłem do 6-ej oczywiście utrwaliło się i w 6-ej, ale i w 5 ej utworzyło nowy związek; starszych klas 7 i 8-ej nie wciągaliśmy, patrzeli na nas zgóry i wyrośli w innym nastroju, raczej używania życia lekkiego, nie nadawali się do tej kółkowej konspiracji. Zebrania kółka, gdy nas było z początku kilku, potem kilkunastu, odbywały się najpierw w ogródku, w domu kolegi Franka Głowackiego, potem u mnie, potem u innych kolegów, zmieniając miejsca zebrań, ażeby nie wzbudzić podejrzeń, potem w 1881 r. (gdy byłem w 6-ej klasie) odbywały się w domu p. Ratomskiej, matki kolegi z 5-ej klasy Rajmunda, która mieszkała w obszernej willi z ogrodem przy ulicy Wizytkowskiej. Rajmund miał obszerny dla siebie pokój w suterenach tej willi, do których zstępowało się po schodach, zasłaniano okna w tym pokoju, żeby nikt nie mógł nas spostrzec, i tu, w tej atmosferze podziemia, przy zasłoniętych oknach, przy świecach, w tym tajemniczym uroku spisku— odbywały się nasze zebrania, już coraz liczniejsze.

Jakież rozkoszne i miłe, pomimo niebezpieczeństwa wykrycia czy przez dyrekcję szkoły, czy przez policję, były te zebrania! Dzisiaj jeszcze, po latach 50-u odczuwam cały urok tych chwil niezapomnianych, gdzie sądząc się wolnymi od oczu dyrekcyjnych, zapominaliśmy o codziennych udręczeniach owego rosyjskiego „wychowania państwowego"! Doznawaliśmy tam dużego odprężenia moralnego od tego codziennego nacisku, codziennego udawania, do którego zmuszani byliśmy, od tej narzuconej chwalby nienawistnych nam, historycznych postaci rosyjskich z przeszłości i teraźniejszości, od tego kłamania wyrazów czci, które zmuszano nas powtarzać. Pamiętam, jak musieliśmy się uczyć różnych wierszydeł rosyjskich, na cześć Skobelewa, Kutuzowa, uwolnienia Moskwy od Polaków, wiersza Puszkina „*Klewietnikam Rossiji*" (Oszczercom Rosji), i tam słynnego tego czterowiersza: „*kto pobiedit, kiczliwyj Lach, il wiernyj Ross, słowianskija ruczji soljutsia w russkom morie, ono-l izsiakniet, wot wopros*" („kto zwycięży, nadęty Polak, czy wierny Rosjanin, czy słowiańskie potoki zleją się w ruskiem morzu, czy ono wyschnie, oto pytanie"). Gdy zamach na Pałac zimowy nie udał się, nauczyciel nasz rosyjskiego, Tołubiejew napisał wiersz, sławiący to ocalenie carskie, którego jedną strofę pamiętam, kiedy dziękuje Bogu, że nam „*swietłych dniej nie pomracził*" (było to przed Wielkanocą).

Od tych narzuconych nam chwalb, zachwytów oficjalnej prawomyślności, w tych suterenach swoich byliśmy wolni — i to nam dawało niesłychaną radość życia, choć na krótką chwilę.

Oparcie dla tych zebrań tajemnych dawało nam kilka domów: mojej matki (ojciec od 8-u lat nie żył), pp. Słowackich, pp. Brzezińskich i najbardziej p. Ratomskiej; domy reszty rodziców, więcej zależnych od władz rosyjskich, bały się nas przytulać: jeszcze nie tak odległe były czasy powstaniowych i popowstaniowych represyj, rewizyj, aresztów, zsyłek i t. d. Wiodło to zaś w sposób nie-

uchronny i ten niepożądany skutek, że takie spiskowanie, przeradzając się w bytowanie codzienne, nie umiało w porę odróżniać pewnej wyjątkowej, chwilowej konieczności tajnej konspiracji od możliwości jawnej pracy, tak że nawet tam, gdzie była możność prowadzenia jawnej roboty, przez nałóg dalej konspirowano: żartowano z jednego takiego nałogowego konspiratora, że on nawet koniczynę u siebie sieje konspiracyjnie. Było to wszakże i jest zawsze wynikiem niezdrowych, anormalnych stosunków, które prowadzo zwykle, gdy dłuższy czas trwają, do pewnego rodzaju wynaturzenia.

Nie byliśmy jeszcze w tem stadjum konspiracyjności i życie samo, silniejsze od formułek doktrynerskich, te sprawy na właściwy, zdrowy tor naprowadzało, ale nie można zaprzeczyć, że niebezpieczeństwo pewnej psychozy, przy dłuższem trwaniu anormalnych stosunków politycznych czy narodowych, musi zawsze grozić, wywołując dezorganizację samego życia...

Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę z nienormalności owych stosunków, spoglądając z zazdrością na ówczesną młodzież angielską, francuską czy inną w wolnem społeczeństwie, mogącą żyć pełnem, młodem życiem, ale czuliśmy zarazem, że innego wyjścia dla nas poza konspiracją niema, bo inaczej grozi nam powolny upadek moralny w służalstwie i poddańczości, w zatraceniu godności ludzkiej. To też, czując to, rozpaczliwie broniliśmy się przed zapadnięciem w to bagno moralne.

Powoli zdobywaliśmy się, poza samokształceniem samowiedzy narodowej, na coraz ściślejsze zespolenie koleżeńskie, dawniej bardzo luźne: z tych groszowych, biednych, uczniowskich składek formowała się tajna polska bibljoteka, gromadziły się czasem i pokaźne składki, np. na pomnik Mickiewicza w Krakowie (mam jeszcze pokwitowanie Komitetu z Krakowa z podpisem p. Ożoga) i na doraźne cele — i w jesieni 1881 r. zdobyło się kółko na wysiłek urządzenia tajnej rocznicy Listopadowej i Mickiewiczowskiej w salonie p. Ratomskiej. Dla Lublina była to niezwykła i nieznana rzecz i chociaż osób zaproszonych i nam przychylnych było dosyć dużo, salon był do ostatka wypełniony, żadna wieść nazewnątrz nie przedostała się — władze szkolne i Siengalewicz nic o tem nie wiedziały. Z najlepszemi nadziejami wkroczyliśmy na jesieni w r. 1882, gdy przeszliśmy do 7-ej, a 5-a i 6-a miały już swoje oddziały kółka, tak że ogółem ilość zakonspirowanych dochodziła do przeszło 50-u. Już coraz trudniej było gromadzić się w takiej liczbie bez zwrócenia uwagi. Dochodziły nas wieści, że Siengalewicz coś zaczyna czuć i rozciąga swoją sieć.

8. WYKRYCIE KÓŁEK PRZEZ SIENGALEWICZA, ŚLEDZTWO I WYROKI

I oto w dzień Zaduszny 1882 r., gdy byliśmy w kościele na nabożeństwie, ktoś przybiegł do kościoła z wieścią, że Siengalewicz pociągnął do siebie na górę do mieszkania kilku uczniów—zrozumieliśmy, że nadchodzi chwila stanowczej rozprawy z kółkiem. Istotnie, po nabożeństwie zaczęto po kolei, jakby ze spisu członków, powoływać na śledztwo, jednakże z pytań zadawanych widocznem było, iż wiedzą, że się zbieraliśmy, ale nie wiedzą, cośmy robili. I wtenczas się wydało, że jeden z uczniów, nasadzony przez Siengalewicza do śledzenia, idąc ze znanymi sobie kolegami w niedzielę, gdy się przed południem zebrania te u Ratomskiego odbywały, doszedł do tej willi, wdrapał się na drzewo w ogrodzie i stamtąd nazwiska wchodzących zapisywał i spis ten Siengalewiczowi doręczył.

Niektórzy zaczęli na tem śledztwie „śpiewać“ i powoli, choć nie wszystko, wydobył z tych zeznań Siengalewicz, żeśmy się tam polskich rzeczy uczyli. Dobrał się i do mnie — starałem się nic nie wydać, ale mnie podszedł, mówiąc: „Ja też w waszych latach to samo robiłem, ja to rozumiem, to naturalne, więc powiedz mi tylko szczerze, jakeście to robili i poco taić się z tem?“ Na to ja nieostrożnie bąknąłem: „No więc jakże, mieliśmy nic nie umieć po polsku?“ Na to on, jak dziś widzę jego djabelsko uradowaną minę: „A więc czytaliście polskie, niedozwolone pisma, mam wasze przyznanie się!“ Szybko już potem zakończył śledztwo i z miejsca kilku nas ze szkoły wydalił, między nimi Ratowskiego, Brzezińskiego i mnie, a resztę oddał pod sąd Rady pedagogicznej, która od siebie znów badanie przeprowadziła. Zrobiła się afera duża — przeszło 50 ciu uczniów z 3-ch wyższych klas, wciągniętych do sprawy, nadało jej w mieście niezwykły rozgłos przez same rodziny pociągnięte do sprawy celem wyjaśnień. Sprawa filaretów lubelskich, jak zaczęto nas nazywać — poszła do Warszawy. Trzeba było jakoś ratować. I dzięki czcigodnemu profesorowi Chałubińskiemu, teściowi mojego brata, stępiono jej ostrze. Brat profesorowej Chałubińskiej—był lekarzem warszawskiego korpusu żandarmów, a stąd przyjacielem gubernatora lubelskiego Stamierowa, poprzednio będącego naczelnikiem kancelarji jenerał-gubernatora warszawskiego Albedyńskiego. Stamierow dostał od niego list z prośbą o załagodzenie sprawy. Zostałem wezwany pewnego dnia do gubernatora, a byłem już 3 tygodnie wydalony, zapytano mnie, co za sprawa i za co zostałem usunięty, ponieważ zaś formalnie Rada pedagogiczna po wydaleniu mnie przez Siengalewicza, już mnie nie badała, odpowiedziałem, że nie wiem, domyślam się tylko, że chodzi o zebranie, na którem uczyliśmy się języka polskiego. Na drugi dzień Stamierow zawezwał Siengalewicza i, jak słyszeliśmy, polecił mu, według wskazówek z Warszawy, załatwić tę sprawę możliwie łagodnie. To też po tygodniu zawezwany zostałem do wysłuchania wyroku Rady pedagogicznej, mocą którego Ratowski, jako udzielający lokalu na nielegalne zebrania, został relegowany, ale z prawem wstąpienia do innego gimnazjum, ja dostałem naganę, obniżenie stopnia ze sprawowania na 4 (przy 3—wydalano) i, o ile pamiętam, kilkunastogodzinny karcer, bo przez szereg niedziel musiałem po 3—4 godziny go odsiadywać, a oprócz tego, co było najcięższą karą, zostawiono mnie na drugi rok w 7-ej klasie. Innych członków ukarano też naganą i karcerem mniej długotrwałym [1]). Sprawa ta podniosła widocznie naszą renomę, choć wielu starszych, oczywiście z bojaźni dalszych złych skutków w karjerze, robiło nam gorzkie wyrzuty wciągnięcia w te konspiracje. Oczywiście, trzeba było przerwać zebrania, bo dozór był coraz ściślejszy i, znając nasze nazwiska, śledzono nas wyraźnie. Wielu też się bało.

(D. c. n.)

STEFAN SURZYCKI

[1]) Protokułu powyższego wyroku Rady pedagogicznej w Archiwum Lubelskiem, niestety, nie znaleziono.

PIEWCA KOBIECOŚCI

(W 50-TĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI IWANA TURGIENIEWA)

DWA zasadnicze momenty nasuwają się uwadze, gdy z okazji jakiejś rocznicy zastanawiamy się nad twórczością pisarza o głośnem nazwisku i wybitnej roli w dziejach literatury wogóle, a piśmiennictwa narodu, do którego należy, w szczególności: historyczne znaczenie jego twórczości w dziejach rozwoju literatury narodowej i światowej, względnie w dziejach rodzaju literackiego, najbardziej przezeń uprawianego — to jedno. A po drugie: te wartości artystyczne czy treściowe, charakterystyczne dla jego twórczości, które niezależnie od dalszego rozwoju literatury — przetrwały, niezatarte ani przez czas, ani przez dzieła późniejszych pisarzy — wartości bezwzględne, jemu w szczególniejszy sposób właściwe.

Historyczne znaczenie twórczości Iwana Siergiejewicza Turgieniewa (1818 - 1883), ludziom, choćby najbardziej powierzchownie obznajmionym z całością dziejów literatury rosyjskiej — jest naogół znane: a więc to również, że pierwszym był on pisarzem rosyjskim, który zwrócił uwagę kół czytelniczych i krytyki Europy Zachodniej na swoją twórczość, a co za tem poszło — i na literaturę rosyjską wogóle, że wpływy jego, w szczególności w zakresie nowelistyki, w bardzo znaczny sposób zaciężyły nad późniejszymi pisarzami zachodnioeuropejskimi, szczególnie nad angielskimi, we Francji — nad nowelą Alfonsa Daudet'a, u nas — nad nowelą Sienkiewicza; że jest Turgieniew pierwszym, i to odrazu znakomitym artystą w dziedzinie poetyckiej prozy rosyjskiej, że stworzył i do znacznej doskonałości doprowadził nowelę rosyjską, jak również stworzył pierwsze dzieła sztuki w zakresie powieści obyczajowej, uwiecznił na kartach swych dzieł dwa pokolenia i wyidealizował lud rosyjski, przyczyniając się w wielkim stopniu do spopularyzowania haseł, nawołujących do uwłaszczenia włościan.

Gdybyśmy jednak, oceniwszy olbrzymią rolę dziejową Turgieniewa w historji rozwoju i znaczenia literatury rosyjskiej, chcieli rozpatrzyć jego twórczość pod drugim z wyżej wymienionych kątów widzenia, spostrzeglibyśmy łatwo, jak mało z tej twórczości oparło się niszczącemu działaniu czasu, jak wiele uległo zapomnieniu czy dewaluacji, przewyższone przez dorobek artystyczny czy treściowy literatury późniejszej. A więc popularność i wpływy na Zachodzie o wiele większe, niż Turgieniew, zdobyli niebawem Tołstoj i Dostojewskij, może nawet większe ten drugi, niż Tołstoj. Genjalne twory Dostojewskiego w zakresie powieści psychologicznej zepchnęły na szary koniec w hierarchji odmian romansu powieść obyczajową, w której Turgieniew celował: dziedzictwo po niej objęła niebawem satyra obyczajowa, która święciła trjumfy w skrajnie-realistycznej, a przepojonej gryzącym, bezlitosnym (nie melancholijnym, jak u Turgieniewa) pesymizmem — powieści Sałtykowa-Szczedryna. Nowelę, ściślej biorąc jej odmianę w stylu angielskiej *„short story“*, na wyżyny, niedostępne Turgieniewowi, wzniósł świetny a oryginalny talent Czechowa; proza zaś późniejszych autorów, choć nie osiągnęła nigdy klasycznej harmonji i umiaru artystycznego turgieniewowskiej, pod pewnemi, specjalnemi względami (u każdego autora — pod innemi) zrobiła znaczne postępy zarówno u Tołstoja, jak u Mereżkowskiego, Gorkija, Kuprina czy wspomnianego już Czechowa. Europejskość i kosmopolityczny charakter dzieł „pierwszego Europejczyka”, jakim w literaturze rosyjskiej był Turgieniew, znalazła godnych siebie rywali wśród pisarzy ery przedrewolucyjnej, natomiast czytelnikowi rosyjskiemu dzisiaj — emigrantowi-nacjonaliście (o Sowietach niema co wspominać: niema w kulturze proletarjacko-kolektywistycznej miejsca dla tak indywidualistycznego i wielkopańskiego charakteru twórczości Turgieniewa) nie odpowiada bynajmniej ten wszecheuropejski kosmopolityzm; z drugiej strony — mimo swego nacjonalizmu, a może właśnie dzięki temu wyrozumowanemu, na obczyźnie sztucznie hodowanemu — w oderwaniu od ziemi rodzinnej — nacjonalizmowi — nie zrozumie Rosjanin-wychodźca nieuświadomionego często, ale głęboko tkwiącego w duszy Turgieniewa, żywiołowego umiłowania ojczyzny, ziemi ojczystej, przyrody rodzimej i rodzimego, rosyjskiego ludu.

Fabuła powieści Turgieniewa, która niegdyś porywała, wydaje się dzisiejszemu czytelnikowi naiwną, skąpą i rozwlekłą; intryga nie wzruszy, nie porwie; wątek erotyczny, który tak czarował, a nawet upajał czytelników rosyjskich, jakże blado wypada w porównaniu z dziejami serca Nataszy Rostowej („Wojna i pokój“) i Anny Kareninej u Tołstoja, z huraganami namiętności, jakie szalały w duszach Karamazowych czy Rogożyna („Idjota”); jakże nieinteresującym się wyda po przeczytaniu wstrząsających przeżyć erotycznych bohaterów powieści i nowel Arcybaszewa, Andrejewa, Czirikowa!

A przecież jest dziedzina, w której i dziś, w pięćdziesiąt lat po śmierci, włada Turgieniew niepodzielnie w literaturze rosyjskiej. Mowa tu o galerji przepięknych postaci kobiecych, które niejednokrotnie mogą stanąć obok Julji, Kordelji, Ofelji i innych bohaterek szekspirowskich, a którym w literaturze polskiej dorównuje, lecz nie przewyższa ich, galerja kobiet sienkiewiczowskich.

Kobieta Turgieniewa stała się czemś niemal przysłowiowem, stała się symbolem najwyższej czci i hołdu, jakim artysta otoczyć może żywą kobietę... kobietę nie z mitu czy legendy, ale kobietę z prawdziwego zdarzenia, kobietę dnia codziennego. Idealizacja kobiety, jako czynnika, opromieniającego życie i uszlachetniającego sens istnienia mężczyzny, w twórczości Turgieniewa znalazła wyraz najpełniejszy. Kobieta taka rodzi się nietylko z jego wyobraźni twórczej, sam osobiście tego rodzaju kultem otaczał jedną kobietę—miłość ta, wytrwała, szlachetna, ale często nieszczęśliwa i stanowiąca źródło licznych cierpień wielkiego pisarza, wyryła na jego idealiźmie erotycznym piętno melancholji i rezygnacji.

W drobnych arcydziełach, jakiemi są nowele Turgieniewa, występuje cały szereg postaci kobiecych, podziw i cześć budzących, odmalowanych z niezwykłym artyzmem: a więc w nowelach „Asia”, „Wiosenne wody”, „Zacisze”, „Pieśń triumfującej

miłości", oryginalne opowiadanie na tle renesansu włoskiego. Na bliższą uwagę zasługuje bohaterka noweli „Faust": młoda panienka ze sfer ziemiańskich wychodzi zamąż, zostaje przykładną żoną, a niebawem szczęśliwą, czułą i kochającą matką. Nie wie ona jednak nic o miłości — matka jej, która sama wiele wycierpiała z powodu zbyt gwałtownych uczuć, wychowała córkę zdala od wszelkich tego rodzaju wzruszeń, przedewszystkiem uniemożliwiła jej jakiekolwiek zetknięcie się z literaturą piękną, z poezją, gdyż w tej — według opinji matki—tkwi całe zło życia miłosnego. I oto majątek męża tej nieświadomej miłości istoty, tej młodej matki odwiedza stary znajomy, który kiedyś starał się, lecz bezskutecznie, o jej rękę. Nie może wyjść ze zdumienia, w głowie nie może mu się pomieścić, że ta urocza, dorosła osoba nigdy w życiu nie czytała nic z literatury pięknej, choć miała bardzo gruntowne wykształcenie w dziedzinie historji, geografji, nauk ścisłych. Postanawia zrobić eksperyment: przywozi z sobą ze swego majątku „Fausta" Goethego i w ciągu jednego dnia czyta jej cały utwór. Wrażenie było piorunujące: młoda kobieta czuła się oszołomioną, wstrząśniętą, siedziała zalana łzami... Upojona czarem poezji, w szczególności poezji miłosnej, godzi się na poznawanie Schillera, a potem innych poetów. Niepokoi ją tylko sprzeniewierzenie się zakazowi zmarłej matki. Niebawem lektura wydaje efekt bezpośredni: młoda kobieta, żona, matka, gorącem, pierwszem dziewczęcem uczuciem zakochuje się w człowieku, który pierwszy otworzył przed nią zaczarowane skarby poezji, i wyznaje mu swoją miłość. Wstrząs jednak był zbyt silny, nerwy nie wytrzymują, wątłe zdrowie również, i ofiara „Fausta" umiera, jakby doknięta przekleństwem zmarłej matki.

W noweli „Pierwsza miłość", która jest naprawdę nieprzewyższonym dotąd szczytem rosyjskiej nowelistyki erotycznej, młoda, piękna i dowcipna Zinaida władczo, nawet despotycznie rządzi nietylko sercami, ale wolą i całem życiem zakochanych w niej mężczyzn. Między nimi jest młody chłopak — Zinaida właśnie jest jego pierwszą miłością, jego marzeniem i ideałem, bóstwem niedosiężnem. Dzięki młodości swojej i świeżości uczucia, do jeszcze większej uległości, większych poświęceń, niż inni—jest on zdolny: zatraca się kompletnie w miłości, indywidualność jego, jak zresztą i innych wielbicieli — roztapia się bez reszty w indywidualności Zinaidy. I oto pewnego dnia, przypadkiem, młody, rozkochany idealista poznaje straszną prawdę: oto ta władcza, despotyczna, niedostępna Zinaida jest bezwolnem narzędziem w ręce człowieka, którego kocha... człowieka, który ją maltretuje, a którego ręce, ręce, które ją biją szpicrutą— z nabożeństwem i miłością całuje... Tym mężczyzną, którego kocha i któremu bez szmerania, radośnie ulega — ona, władczyni innych mężczyzn — jest... ojciec młodego bohatera noweli!...

Te bolesne dzieje „Pierwszej miłości" opowiedziane są w pierwszej osobie naprawdę w sposób nieporównany. Jest też w tej noweli coś, co nas, Polaków specjalnie powinno zainteresować: oto występuje w niej, jako jeden z wielbicieli Zinaidy — Polak, hrabia Malewski. Stwarzając kreację Malewskiego, dał Turgieniew jaskrawy wyraz antypatji, z jaką się odnosił do Polaków i wszystkiego, co polskie: hrabia przewyższa wprawdzie Rosjan kulturą umysłową i ogładą towarzyską, ale w porównaniu z ich szczeremi, otwartemi, gwałtownemi i popędliwemi, ale prostemi i jasnemi charakterami, uderza swoją przewrotnością, skłonnością do intryg, tchórzostwem i nikczemnością. Pewnego razu Zinaida charakteryzowała wszystkich swych wielbicieli, wyobrażając sobie, jakby każdy z nich postąpił wobec człowieka, stojącego na zawadzie. Na pytanie hrabiego Malewskiego: „No, a ja jakbym — według pani — postąpił?", — „Pan" — odpowiada — „Pan z najczarowniejszym ze swoich uśmiechów ofiarowałby mu zatruty cukierek..."

Ta antypatja w stosunku do Polaków, a także do sprawy polskiej, nie przeszkadzała Turgieniewowi być liberałem i gorącym entuzjastą walk niepodległościowych narodów południowo-słowiańskich. Nie licząc ojca wielbiciela Zinaidy w „Pierwszej miłości", wprowadzonego na dwu stronach jedynie, a więc postaci, artystycznie nierozwiniętej— napróżnobyśmy szukali silnego mężczyzny wśród Rosjan-bohaterów Turgieniewa. Silnym natomiast charakterem, człowiekiem o woli niezłomnej, mającym jasno skrystalizowany, najważniejszy cel życiowy: wolność ojczyzny — jest nie Rosjanin, ale Bułgar, Insarow z powieści „W przededniu". To też tę nieskomplikowaną, ale silną, jednolitą naturę, oddaną bez zastrzeżeń w służbę idei, przeniesie ponad słabych, melancholijnie uśmiechniętych, jakże mało produktywnych Rosjan: artystę-Szubina i naukowca-Biersienjewa — Helena, bohaterka tej powieści, jedna z najbardziej świetlanych postaci kobiecych, jakie stworzył Turgieniew. Wbrew opinji otoczenia, wbrew woli rodziny, pójdzie za ukochanym w obce kraje, przejmie się jego ideą i poświęci się służeniu jej; ale nie sądzone jest jej szczęście: w przededniu wyjazdu do Bułgarji, gdzie miał rozpocząć akcję wyzwoleńczą, umiera mocny człowiek — Insarow.

Pełna uroku jest też Liza Kalitina, bohaterka powieści „Szlacheckie gniazdo". Serce jej dziewczęce obudzi Ławrieckij, ale niezdolny jest dać jej szczęścia, to też z sercem, na wieki rozbitem — takie natury, jak Liza, nie kochają dwa razy —. idzie dziewczyna do klasztoru, gdzie zamyka się na całe życie. Również i tytułowy bohater powieści „Rudin" rozkochać tylko potrafi w sobie dzielną, do poświęceń skłonną Natalję — ale prócz pięknie brzmiących słów, nie jest w stanie dać jej nic wartościowego.

Urocza jest Irena, bohaterka „Dymu", ofiara własnych kaprysów, kobiecej niestałości i zmienności losu, imponuje charakterem bohaterka najsłabszej powieści Turgieniewa „Now". Całkiem natomiast odmiennym, niż wszystkie tamte—typem jest Odincowa z „Ojców i dzieci", kokietka i lwica salonowa, rogata dusza, taka sama, jak bohater powieści, unieśmiertelniony przez Turgieniewa — typowy nihilista rosyjski, lekarz-materjalista Bazarow. Zderzają się dwie silne indywidualności i rozchodzą się — kędy spojrzeć, nigdzie nie znaleźć u Turgieniewa słonecznego, triumfalnego czy cichego szczęścia, jakiem się kończy miłość u Sienkiewicza. Melancholja, smutek i rezygnacja wieją ze wszystkich kart, na których urocze swe, a nieszczęśliwe, choć na szczęście ze wszechmiar zasługujące bohaterki — unieśmiertelnił Iwan Turgieniew.

TEODOR PARNICKI

NA WIDOWNI

Apolityczność jako brak kultury. — Motyw narodowy w myśleniu uchodzi za partyjność. — Krytyka według klucza wyborczego. — „Róża“ jako dramat socjalizmu.

W OSTATNIM zeszycie „Przeglądu Współczesnego“ (lipiec — sierpień 1933) p. Jan Hulewicz zamieścił początek literackiego studjum p. t. „Stefan Żeromski. Stan i postulaty badań“. W pewnem miejscu wypowiedział opinję o mojej recenzji teatralnej z „Róży“ Żeromskiego w tych słowach:

„Oryginalne, wnikliwe — niestety zawsze ujmujące sprawę z punktu widzenia kryterjów partyjnych — były też uwagi Zygmunta Wasilewskiego w recenzji teatralnej „Róży“. Ten ton pewnego żalu, zawodu, iż Żeromski daleki był od obozu nacjonalistycznego, ton, który zawsze podskórnie daje się wyczuć w uwagach Z. Wasilewskiego — jest też *sui generis* przyczynkiem do popularności Żeromskiego, skoro tyle obozów tak chętnie lubi się powoływać na jego autorytet“...

Przykro mi, że muszę zrobić zastrzeżenie z powodu takiego stawiania sprawy w poważnym miesięczniku. P. Jan Hulewicz w roli krytyka krytyki literackiej nie był mi dotąd znany, ale podziwiam, że zaczyna od tak uproszczonej metody: zagląda do legitymacji, w którą każdy przyzwoity człowiek się zaopatruje, należąc do jakiejś grupy politycznej. Nie wystarcza mu to, co piszę, jako krytyk; uwagi moje są „głębokie i wnikliwe“, ale... wyczuwa podskórnie to i owo, bo jestem ND, a Żeromski PPS; zupełnie jakby szacował stosunki literackie agitator wyborczy, przypomina, że ja należę do „czwórki“, a on do „jedynki“. Jest więc w tem coś podejrzanego; kontroler czuje podskórnie, że żywię żal do Żeromskiego za to, że nie głosuje za „czwórką“; pisząc o nim „głęboko i wnikliwie“, mam jedynie cel polityczny na oku, mianowicie wygrywanie w walce partyjnej „popularności“ i „autorytetu“ tego beletrysty. Insynuacja!

Ponieważ recenzja moja o „Róży“ Żeromskiego nie daje najmniejszego powodu do podobnej insynuacji, uważać muszę tą dygresję polityczną p. Hulewicza za daninę, złożoną obyczajowi dziennikarskiemu. Obyczaj ten, jak widzimy, przesiąka do krytyki naukowej tak, jak dostał się do podręczników, zatwierdzanych przez Ministerjum W. R. i O. P. Brak myśli krytycznej zastępuje się erudycją dziennikarską. P. Hulewicz wie, że należę do Stronnictwa Narodowego i nie może sobie tego darować, aby tą wiedzą się nie pochwalić. A jest mu to tem potrzebniejsze, że w ten sposób odcina się sam od obozu narodowego. A nuż posądziłby go ktokolwiek o sympatję dla nacjonalizmu; odrazu jest asekurowany. Poruszam więc tę sprawę nie w obronie własnej i nie dla czczej polemiki, lecz publicystycznie chcę wyjaśnić jej znamienność obyczajową. Tylko do takiego traktowania się kwalifikuje, bo przecież nie ma żadnego związku z metodą naukową ujmowania cudzej myśli. Niechże się p. Hulewicz wytłumaczy, w jaki sposób uwagi moje mogą być „głębokie i wnikliwe“, a jednocześnie dyktowane tylko względami taktyki partyjnej...

Zły obyczaj polega na tem, że literaci polscy szczycą się swym analfabetyzmem politycznym. Żaden kraj nie może sobie na to pozwolić, aby jego pisarze byli pozbawieni kultury politycznej, nie tylko kraj — żadna mniejszość narodowa; jedynie chyba Polacy tem się szczycą, że uważają za elitę umysłową tych, którzy nie zastanawiają się nad swym stosunkiem do nurtu myśli narodowej.

Naród żyje i ma swoją myśl jego historja. Literaci żyją wśród niego i z niego, ale się uważają za wyższych ponad obowiązek elementarny rozumienia tego życia. Płyną jak wióry powierzchnią „wiernej rzeki“, wirując, spychane na boki, zatrzymywane byle mielizną, byle badylem. Z teorji coś wiedzą, że literatura ma zadanie wyrażania myśli narodu i ogromnie się dziwią, że właśnie gdy życie narodu wzbiera, następuje, jak teraz, upadek owej literatury, że ogół bez niej doskonale się obywa i że oni osobiście spychani są na obrzeża czczej zabawy w pisaninę.

Dmowski przed 30 laty w „Myślach nowoczesnego Polaka“ mówił o Warszawie, że niema na świecie ogniska, w którem byłoby tylu nieinteligentnych intelektualistów i bez dobrego smaku estetów. Nie wiele się zmieniło od tego czasu, bo zły obyczaj z doby niewoli wżarł się w starsze pokolenie i chętnie jest kultywowany w dziennikarstwie, z którego żyje świat literacki. Taki literat, analfabeta polityczny, pisujący w dzienniku, ma do wyboru: albo wymijać rzeczy żywotne z tą jedyną myślą, aby nikt z tego pisania nie miał żadnego pożytku, albo wziąć na się barwę służbową od ludzi, dających sprawom publicznym kurs bieżący. Bierze się tedy barwę polityczną od panującego *regime*'u, a kierunek od żydów, bo ci zawsze są „postępowi“. Pierwszym tedy warunkiem w każdym wypadku — warczeć na nacjonalizm i w krytyce nawet literackiej wyczuwać „podskórnie“ robotę partyjną.

Oczywiście w tych tylko warunkach analfabetyzmu politycznego i zaniedbania moralnego mogło nastąpić splątanie pojęć o rzeczach, należących do odmiennych dziedzin. Dla literata tego typu kwestja np. stosunku jednostki do narodu jako zagadnienie psychologiczne i filozoficzne nie istnieje; on to nazwie kwestją partyjną, właśnie tak, jak p. Hulewicz; on bowiem tylko tyle się orjentuje, że pojęcie „naród“ wedle bieżącego kursu polityki amatorskiej jest czemś zdrożnem. Skoro więc jest się krytykiem dobrze usposobionym do Żeromskiego, to przedewszystkiem trzeba utrzymywać, że pisarz ten „daleki był od obozu nacjonalistycznego“. I to się mówi, gdy chodzi o „Różę“, która jest właśnie dramatem jego własnej duszy, nie umiejącej pogodzić w sobie dążeń narodowych z internacjonalnemi! Pisarz ten zbyt bliski był nacjonalizmu, skoro taki dramat przeżył i pod postacią bohatera „Róży“ Czarowica przedstawił.

Mówiąc o „Róży“, nie można pominąć tematów politycznych, bo sam ten utwór z tematu swego jest dramatem politycznym, rozgrywającym się w duszy człowieka ideowego. Krytyk, który tego zagadnienia dramatycznego nie przerobił w sobie, który do „Róży“ przystępuje z miarką estetyczno-teatralną jedynie, nie ma właściwie nic do powiedzenia o dramacie samym. I tak istotnie było. Żeromski dotąd czeka na studjum, aż wymrze ród panegirystów estetów, nie zdających sobie sprawy z dramatu dziejowego, wśród którego żyli.

Dział się bowiem w Polsce na przełomie nowych dziejów wielki dramat w duszach, czujących życie. Literat esteta, zbierający teraz pokłosie po Żeromskim, ani pomyśli o tem, że zrozumieć cokolwiek w tym poecie niepodobna bez głębokiego

przeorania gleby, z której on wyrósł i to właśnie — przeorania pod kątem historji politycznej. To samo z „Różą", co z „Wyzwoleniem" Wyspiańskiego, a różnica jest tu raczej tylko ilościowa, ponieważ Żeromski ograniczył dramat narodowy zakresem tego koła, w które zaczarowała się dusza socjalisty.

Krytyk, który — jak dawna panienka — wychodzi z pokoju, gdy mowa o polityce, bo ona go obraża, który za dobrą manjerę literacką poczytuje sobie szykanowanie pisarzy za to, że na dramacie politycznym życia się znają, nie ma nic do powiedzenia o pisarzach polskich XIX wieku, a nawet XX. Tembardziej krytyk mający idjosynkrację do motywu: naród. Ten żadnej literatury nie zrozumie. Bo literatura jest przejawem ducha narodowego. Twórca polski, niezależnie od obozu (nacjonalista, czy socjalista kosmopolityczny, konserwatysta czy radykał) zawsze jest pisarzem narodowym, bo nie może być czem innem, sama zaś literatura nie przestanie być nigdy zagadnieniem nacjonalistycznem. A takiem zagadnieniem może z korzyścią dla nauki i kultury zajmować się krytycznie tylko umysł doskonale zżyty z psychologją narodu i z duchowemi sprężynami jego dziejów.

Kwestja stosunku jednostki do narodu — to kwestja człowieka jako *zoon politikon*, to kwestja n o r m y człowieczeństwa. Bez poczucia tej normy nie można znaleźć miary dla głębszej twórczości literackiej. Żeromski dlatego głęboko odczuwał przeżycia swoje politycznej natury w dążeniu za ideałem socjalistycznym, że miał duszę narodową. Bez tego nie byłoby dramatu „Róży".

Zabawne jest mentorstwo p. Hulewicza, gdy w tym względzie wchodzi między mnie a Żeromskiego. Myśmy od wczesnej młodości przeżywali epokę, której on w „Róży" (i wogóle w swych utworach) dał wyraz. Był to czas rozdroża: jedni poszli górą, drudzy doliną. Było to rzeczą indywidualnych — nie tyle właściwości, ile okoliczności życia każdego z nas — że on dał się porwać w ruch społeczny po drodze, która się okazała ulicą ślepą. Taką drogą był marksizm. Olśniły go, gdy pracował w bibljotece, przy sposobności dorywczych studjów nad pismami emigracyjnemi, idealistyczne porywy H. Kamieńskiego, majaczyły mu tradycje świętokrzyskie ks. Ściegiennego, zdawało mu się, że marksizm, zwłaszcza spolszczony (PPS), będzie czemś tem samem. Dał się porwać, ale co się działo w jego duszy, gdy prawdzie się przyjrzał, o tem przekonywamy się w „Róży".

Bankructwo Czarowica Żeromski ogłosił już w r. 1908. A życie, które potem całym impetem wdarło się na tereny dziejowe, przekonało nas chyba dostatecznie, że poeta dobrze odczuł dramat swego bohatera. Cóż się stało z marksizmem w ogólności, a z tym stylizowanym po polsku w szczególności? Już ich niema. Zaczął się w Polsce i zginął w okresie nie dłuższym, jak żywot jednego człowieka. Idea zaś narodowa jak żyła, tak żyje, znajdując wyraz w coraz żywszym ruchu umysłowym w postaci nacjonalistycznego na świat poglądu.

Zapowiedzi tego faktu fermentowały dramatycznie w duszy poety; Czarowic Żeromskiego symbolizuje proroczo upadek socjalizmu. Że ktoś w swoim czasie to zaznaczył (głęboko i wnikliwie), to nie dlatego, że myślał kategorjami partyjnemi, lecz że — jako historyk czasu — rozumiał.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM HISTORYKÓW W WARSZAWIE daliśmy sprawozdanie w poprzednim numerze. Podczas uroczystego otwarcia kongresu m. in. wygłosił przemówienie premjer rządu polskiego, p. Janusz Jędrzejewicz. Obowiązkiem opinji polskiej jest też powiedzieć swoje zdanie o wystąpieniu p. Jędrzejewicza. Nie było według nas na miejscu chwalenie się przez szefa rządu polskiego, iż dzięki jego zarządzeniom kongres może obradować, ponieważ rząd polski dał pieniądze. W każdym razie tego rodzaju chwalenie się nie jest zgodne z zasadami *savoir vivre*.

Nie o to jednak nam chodzi głównie. Charakterystyczne były ustępy przemówienia szefa rządu polskiego, kiedy mówił o uczonych historykach i przeciwstawił im tych ludzi, którzy tworzą historję, a więc czynnych polityków. Otóż według p. Jędrzejewicza wiedza historyczna nie może być skarbnicą, z której polityk czerpie wskazówki lub natchnienia, albowiem politykowi wystarczy sama intuicja. Wprawdzie „mężowie stanu" chętnie czytają książki historyczne, ale to dla przyjemności, nie dla nauki. Tego rodzaju myśli charakteryzują nietylko p. Jędrzejewicza, ale cały obóz, do którego zalicza się obecny premjer.

Innego byli zdania najwybitniejsi politycy świata i Polski. Nie chcemy się tutaj powoływać na Juljusza Cezara, który nietylko tworzył dzieje, ale pisał książki historyczne, na Macchiavela, czy Napoleona... Przypomnimy tylko, że w Polsce, z końcem XVI-go stulecia i na początku XVII-go, działał wielki wódz i polityk, Stanisław Żółkiewski, bohater wielu wojen i bitew, a zarazem twórca wielkiego planu politycznego, zdążającego do zbliżenia, zapomocą wspólnej dynastji, Moskwy z Polską. Otóż ten wielki mąż w testamencie, przeznaczonym dla jedynaka-syna, a pisanym w roku 1606 (na 14 lat przed bitwą pod Cecorą), radził synowi:

„Historyki koniecznie czytaj.. w biegu spraw siłam się tem ratował, żem przeszłych wieków sprawy wiedział".

Czyli wyraźnie stwierdza Żółkiewski, iż wiedza historyczna nieraz mu służyła w jego działalności — jako polityka i wodza. Ma się rozumieć, że nie można z historji czerpać bezpośrednich wskazań i uciekać się do naśladownictwa. W każdym razie jednak znajomość dziejów bezsprzecznie wiele uczy polityka i pozwala mu na znalezienie odpowiednich środków i metod postępowania, a przedewszystkiem daje podstawy do wykreślania wielkich linij politycznych, które odpowiadają potrzebom i tradycjom dziejowym narodu i państwa. Historja przecież jest podstawową nauką o drogach rozwoju i upadku cywilizacyj. Polityka zaś jest czynnością, która powinna zmierzać do posunięcia danego narodu w rozwoju cywilizacyjnym i do odegrania przezeń w twórczości cywilizacyjnej roli czynnej, nietylko biernej. Czyli nauka historji może politykowi ułatwić zorjentowanie się w drogach, które jedne cywilizacje doprowadzały do upadku, inne zaś zrobiły panującemi i powszechnemi. Chyba, że są tacy politycy, którzy władzę uważają nie za środek, a za cel: wtedy rzeczywiście nauka historji jest im mniej potrzebna.

Ma się rozumieć, nauka historji tylko wtedy może odgrywać taką rolę, kiedy nie jest pisana

dla potrzeb bieżącej chwili i nie jest do tych potrzeb naciągana. Takie dzieła „historyczne" przestają być historją, są zwyczajnem fałszerstwem. Bezsprzecznie jednak bieżąca chwila wpływa na pracę historyków, chociażby zachęcając ich do badań ludzi i epok, które są bliskie i podobne teraźniejszej. Zarazem znajomość życia bieżącego pozwala historykowi na zrozumienie nietylko łańcucha przyczyn, które działały w historji, ale także na zrozumienie psychologji wybitnych ludzi i całych społeczeństw dawnych czasów.

Historyków czytają więc politycy nietylko dla przyjemności, ale także dla zaczerpnięcia z kart dziejów natchnienia i pobudek dla swojego działania. P. premjer Jędrzejewicz dlatego może tak lekceważąco wyraża się o pracy historyków, ponieważ w jego otoczeniu odbywa się zacieranie śladów współczesnych dziejów Polski, obstalunkowa robota rozmaitych p.p. Pobóg-Malinowskich, Kawałkowskich i t.p. O tych robotach istotnie można mówić z lekceważeniem. Ale to nie jest nauka historji, to jest wdzieranie się do historji, które się nie uda. Na tej podstawie sądu o wartości studjów historycznych dla polityki wytwarzać sobie nie należy.

„WŁASNY"... Słowo najzupełniej zrozumiałe, dla wszystkich jasne, a jednak znaczenie jego w czasach dzisiejszych wypaczyć się może przedziwnie. Weźmy mianowicie pod uwagę wyrażenie „własny rząd"— i sięgnijmy do dokumentów języka urzędowego. Oto okólnik ministerjalny zabronił rozpowszechniania w szkołach „Przewodnika Katolickiego", który drukuje artykuły, „tendencyjnie przekręcające fakty z życia współczesnej Polski, a urabiające czytelnika w duchu nieprzychylnym i wrogim w stosunku do poczynań własnego rządu". Niezmiernie typowe dla frazeologji sanacyjnej wyrażenie i niezmiernie typowa nielogiczność. Autor artykułu nie zastanowił się, że w stosunku do „własnego" rządu przysługują „czytelnikowi" — prawa takie, jak w stosunku do własności. Jeżeli społeczeństwo ma rząd „własny", to znaczy, że może nim rozporządzać, to jest zmieniać go, krytykować i naprawiać, jak chce. Być może, iż w rzeczywistości praw tych nie ma — ale jeśli nie ma, to z pewnością nie dlatego, że przedmiot jest jego własny. „Nie waż się tknąć, bo to twoje" — nowa to całkiem maksyma dla uszu Europejczyka. Nie wchodzimy w to, czy prawo krytyki w stosunku do poczynań rządu jest dziś celowe, czy nie, czy jest konstytucyjnie zagwarantowane, czy zabronione — chodzi o to, że absurdem jest kwestjonować je w imię prawa własności. Trzeba tu użyć jakiegoś innego argumentu, niż „własny rząd". Jest coś nad wyraz niemiłego w tem przykrywaniu tandety myśli transparentami pojęć innej, porządnej cywilizacji. Patrząc na to, najokrutniej wydajemy się sami sobie karykaturą. Jasne i określone w języku cywilizacji zachodniej pojęcia stają się niewyraźne, ściślej: bez sensu, kiedy użyć ich w odniesieniu do polskiej rzeczywistości. Dotyczy to wszystkich właściwie pojęć prawa publicznego, jak „wolność", „demokracja", „elita" it.d. Młodsze pokolenie Polaków tak jest niezrośnięte z konkretnemi instytucjami prawno-publicznemi, jak młode pokolenie Hindusów. Tę swoją bezpańskwowość ma do zawdzięczenia dziś uwijającym się na widowni publicznej działaczom. Zna tylko ośmieszone, albo przereklamowane instytucje, i przyzwyczaiło się częściowo do panującej w prawno-publicznych stosunkach niepewności. Niewątpliwie będzie usiłowało poprawić ten stan rzeczy, gdy samo weźmie się do zmontowania tego, co rozbudowano. Narazie widzi, jak rozkład w dziedzinie publicznej dotyka nawet ustalonych pojęć prywatno-prawnych, kiedy w dziedzinie publicznej mają coś wyjaśnić — i jak w języku urzędowym rzucane są pod adresem obywateli ostrzeżenia: „nie rusz, bo twoje".

NIE BRAK BANALNEGO FRAZESU I W HITLERYZMIE I W FASZYZMIE. A przecież w tych „rewolucjach narodowych" pobrzmiewają czasem akcenty, jakich Polakowi słuchać wypada z zazdrością. Przez siedem lat trwania „sanacji" czy padło choć raz oświadczenie w stylu słów Hitlera na ostatnim zjeździe w Norymberdze: „Jednego tylko lękać się musimy, aby nam przyszłość nie rzuciła w twarz zarzutu kłamstwa i bezmyślności". Chyba nie pomylimy się, twierdząc, że „sanacja" w Polsce zawsze najmniej lękała się zarzutu „kłamstwa i bezmyślności". Nie dyktuje nam spostrzeżenia tego uprzedzenie partyjne. Owszem, wolelibyśmy stokrotnie, aby „sanacja" miała cechy, za które społeczeństwo mogłoby czuć się dumne. Ale któż może w istocie czuć się dumnym z prawdomówności, która *régime* obecny nazywa „demokracją", kto dumny jest z frazesu „państwowego" i „mocarstwowego"? Komu nie obmierzł „konstytucjonalizm", „brak sadyzmu", „duch bezpartyjny", cały grzeczny słownik „sanacji"? Kto wyżej podnosi głowę, myśląc o przewodnictwie ideowem dzisiejszej „elity", o jasno wytkniętych celach, o programie, o darze przewidywania, o wysiłku zrozumienia polskiej rzeczywistości, o bogatej literaturze politycznej, jaką ruch ten z siebie wydał? Bodajże zarzut bezmyślności jeszcze mniej zawsze obchodził sanatorów, niż zarzut nieprawdomówności. Nikt tam się nigdy nie martwił, że wypadki dogania się dopiero, zamiast je wyprzedzać przewidywaniem. Nikogo nie bolał brak programu, ani brak idei. O celowość i konsekwencję roboty dbano tylko przy zwalczaniu przeciwników politycznych... Dalecy jesteśmy od bezkrytycznego podziwiania przewrotu, wywołanego w Niemczech przez Hitlera. Kto ma choć mierne przywiązanie do cywilizacji polskiej, ten nie potrzebuje z zewnątrz brać wyobrażeń o tem, jaki powinien panować prawidłowy ład w Polsce. Ale przecież rzeczywistością także jest ogólno-europejska cywilizacja: i kiedy w jakimkolwiek kraju padną tchnące szczerością słowa o brzydocie bezmyślności i kłamstwa w życiu publicznem — naturalny oddźwięk znaleźć mogą w każdym narodzie europejskim.

KŁADZENIE SIĘ NA PADOŁEK LUDZKOŚCI i poszczególnych jej narodów jest ulubionym od tysięcy lat zwyczajem żydostwa. W jego księgach ciągle jest mowa o tem, że królowie i narody ziemi mają piastować i karmić „naród osobliwy", że mają mu służyć i przed nim się korzyć, on zaś wzamian ma je, gdzie może, wytracać. Do dziś dnia nic pod tym względem nie zmieniło się w chorej wyobraźni żydostwa, o czem, między innemi, świadczy „Rezolucja XVIII Kongresu Sjonistycznego w sprawie sytuacji żydów niemieckich". Jeden z punktów owej „rezolucji" głosi:

„Kongres uważa za obowiązek całej cywilizowanej ludzkości, zwłaszcza Ligi Narodów, nieść pomoc żydom w ich walce o przywrócenie praw żydom niemieckim".

Naród żydowski jest narodem nie-męskim. Dlatego zawsze i wszędzie budził względem siebie odrazę i pogardę. I ta „rezolucja" XVIII kongresu nic innego w narodach nie obudzi. Nie wzywano ludzkości do obowiązku niesienia pomocy wyrzynanym przez żydostwo Rosjanom, Węgrom, Hiszpanom, jakżeby miała odezwać się na wołanie wczorajszych oprawców, którzy dzisiaj pod wóz niemiecki wpadli? Żydzi są dziecinnie bezczelni, gdy przytem w „rezolucji" owej mówią o „honorze narodu żydowskiego". Mogliby przynajmniej tego jednego słowa aryjskiego nie używać! Żyd i honor! — takie zestawienie budzi tylko uśmiech politowania w człowieku cywilizowanym.

W innym obok, jeszcze komiczniejszym punkcie owej „rezolucji" kongres „podnosi głos uroczystego protestu przeciwko zakłócaniu religijnych form życia np. w postaci zakazu uboju rytualnego".

Jak widzimy, umysłowość żydowska pozostaje nadal pod władzą głębokich zboczeń patologicznych. Najwyższe przedstawicielstwo żydostwa staje w obronie barbarzyństwa, nazywa je „formą życia religijnego" i wzywa „całą ludzkość cywilizowaną", ażeby to popierała i uświęciła!

Najkomiczniejsze atoli w owej „rezolucji" jest powtarzanie wyświechtanego hasła, na głupotę czerni najniższej obliczonego: „Kongres... pomny zasad wolności i równości wszystkich narodów, ras, wyznań, światopoglądów i jednostek..." — co się wykłada, że idjota równy jest genjuszowi, szubrawiec — szlachetnemu, anarchizm — najwyższej kulturze, religje plemion murzyńskich — religjom i filozofjom narodów białych, rasa pigmejów australijskich — rasie indo-europejskiej, a naród żydowski — narodom aryjskim.

„Rezolucja" Kongresu znakomicie odsłania światu charakter i wartość narodu żydowskiego.

WARSZAWA jest miastem niesłychanie ubogiem w place. To, co nazywa się szumnie placami, jest raczej plackami, nawet nie wielkanocnemi, ale poprostu nędznemi podpłomykami. Jedynym placem w śródmieściu, który ze względu na swoje położenie i rozmiar, mógłby, po uporządkowaniu, uchodzić za plac godny stolicy państwa, jest dawny Plac Saski. Ale niestety, czynniki miarodajne, chociaż przemianowały go na plac Marszałka Piłsudskiego, pomniejszają go do połowy, dziś od zabudowań wolnej. Mali ludzie nie czują wielkości odradzającej się stolicy i kaleczą nawet to, co z natury swojej jest wielkie.

Plac Saski w granicach swoich naturalnych przylega do: linji gmachu Sztabu Głównego, ulicy Królewskiej, ulicy Ossolińskich i ulicy Krakowskiego Przedmieścia. Gmach hotelu Europejskiego, gmach Komendy miasta, oraz gmachy po dawnej plebanji prawosławnej stoją nie p r z y Placu Saskim, ale n a tym placu, niejako na plecach jego, stoją tam (z punktu widzenia architektonicznego) bezprawnie i bezsensownie. Gmachy te powinno się albo zaraz zburzyć, albo (w braku pieniędzy) pozostawić je w oczekiwaniu na czas, gdy można je będzie nareszcie z placu usunąć, aby mu jego naturalny rozmiar, znaczenie i piękno przywrócić.

Cóż w sprawie, tak prostej, czynią czynniki miarodajne? Burzą jeden z tych gmachów przy rogu Królewskiej i Kr. Przedmieścia — po to, żeby na jego miejscu wybudować jakiegoś drapacza chmur, czyli drapichrusta chamskiego, który dobije nietylko resztkę Placu Saskiego, ale i ładny kąt Krakowskiego Przedmieścia. Budowa tego chmurodrapa już się zaczęła i żadna krytyka, żadne namowy, żadne wołania jej nie powstrzymają. Zdajemy sobie z tego jasno sprawę i nie piszemy słów tych dla obrony Placu Saskiego, ani pokoleń przyszłych, które, jako dziedzictwo po dniu dzisiejszym będą miały jeszcze jedną ciężką a zbędną robotę w rozbiórce kosztownych, jak Bank Gospodarstwa Krajowego, a ohydnych gmachów. Chcemy tylko na jeszcze jednym przykładzie pokazać, że i w architekturze pokolenia współczesnego panuje bezsens, kosztowny bezsens ludzi małych, kraj nasz i miasta szpecących.

NAUKA I LITERATURA

KS. HENRYK BRÉMOND

W DNIU 17 z. m. umarł w Artez d'Asson (w departamencie Niskich Pirenejów) ksiądz Henryk Brèmond, członek Akademji Francuskiej, jeden z najznakomitszych francuskich uczonych, filozof, historyk, krytyk i świetny literat, wielki miłośnik poezji.

Ksiądz Henryk Brémond urodził się w roku 1885 w Aix-en-Provence. Skończył tameczne kolegjum katolickie, poczem wstąpił do seminarjum duchownego w Anglji. W roku 1904 został wyświęcony na kapłana i przyjęty do Towarzystwa Jezusowego. Przez długi szereg lat mieszkał w Walji, zapoznając się gruntownie z literaturą i kulturą angielską. Nauczył się tam kochać angielską poezję symboliczną. W roku 1900, podczas wycieczki do Grecji, spotkał się w Atenach, w ruinach Partenonu na Akropolu, z Maurycym Barrés'em. Wywiązała się między nimi gorąca przyjaźń, która miała trwać przez całe życie. Karjerę literacko-naukową rozpoczął ks. Brémond od wydania tomu *essay*'ów krytycznych o poetach spółczesnych: Stefanie Mallarmé, Henryku de Régnier, Franciszku de Vielé-Grèffin i innych. W roku 1901 opublikował dzieło p. t. „*Inquiétude Réligieuse*" — poświęcone kardynałowi Newmanowi. W ośm lat później poświęcił tom Huysmansowi, Pascalowi i George Eliot'owi. Napisał również drugie studjum o Newmanie (zarys biograficzno-psychologiczny), dalej rozprawę p. t. „*Provence mystique au seizième siécle.*" W roku 1904 wystąpił z zakonu jezuitów, aby módz z większą swobodą pracować naukowo. Wydał wkrótce potem początek swojej „*Histoire littéraire du sentiment réligieux en France*". Jedenasty tom tej olbrzymiej pracy ukazał się przed paru tygodniami. W uznaniu wybitnych zasług księdza Henryka Brémonda, Akademja Francuska ofiarowała mu godność swojego członka w roku 1923. Otrzymał fotel, opróżniony przez zgon biskupa Duchesne. Do najsławniejszych prac zmarłego akademika należy jeszcze jego „*Apologie pour Fénélon*", oraz *L'abbé Tempête*". Sławny również bardzo był jego referat na temat „Poezji czystej". Utwory Brémonda budziły w świecie intelektualistów francuskich zawsze bardzo żywe zainteresowanie. Stanowiły okazję do mnogich i żarliwych dyskusyj, polemik etc. Pamiętne są polemiki Brémonda z Pawłem Souday. Pogrzeb znakomitego krytyka odbył się z wielką okazałością. Ciało przetransportowano najpierw do Pau, gdzie odprawiono ceremonje kościelne ze wszystkiemi honorami, należnemi członkowi Akademji Francuskiej. Następnie przewieziono zwłoki do Aix-en-Provence i tam je pochowano.

S. G.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Skutki reformy ustroju szkół akademickich nie dają na siebie długo czekać. Jak donoszą dzienniki, minister oświecenia p. Jędrzejewicz wystosował do uniw. Jagiellońskiego list, domagający się, aby skasowane były następujące katedry: na wydziale prawnym II katedra ekonomji politycznej—prof. Heydel, na wydziale lekarskim II katedra medycyny sądowej po prof. Wachholcu, katedra chirurgji — prof. Glatzel; na wydziale filozoficznym wakująca katedra filozofji ścisłej, wakująca katedra geografji fizycznej i kartografji, katedra socjologji i etnologji (prof. Bystroń), historji kultury (prof. Kot) i katedra sztuki (prof. Pagaczewski). Profesorowie ci przeciwni byli reformie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Naukowe badanie literatury staropolskiej ciągle jeszcze cierpi na brak tekstów. Ówczesne bogactwo piśmiennicze, spoczywające w rękopisach i równie niedostępnych pierwodrukach, oczekuje od wielu lat planowej pracy edytorskiej. Nierychło wróżyć można jej realizację. Ze starszego rocznika badaczów odchodzą zwolna zasłużeni i pedantyczni wydawcy— umarł przed rokiem prof. Jan Czubek — pokolenie młodsze i najmłodsze, coraz liczniejsze, nieosobliwie kwapi się do pracy podobnej. Warunki ogólne regulują, niestety, tempo wydawnicze Bibljoteki Pisarzów Polskich Akademji Umiejętności, która wydobyła tyle nazwisk i dzieł staropolskich. Postulaty mnożą się i rosną pod ręką, choćby na terenie siedemnastowieczczyzny — czekać ciągle wypada polepszenia „konjunktury".

W warunkach aktualnych głośnem uznaniem powitać należy inicjatywę Kasy im. Mianowskiego w Warszawie, która zagaiwszy pismem Budnego wydawnictwo dzieł różnowierczych, teraz znowu podjęła serję drugą „Bibljoteki zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w." Przedsięwzięcie to o dawnej tradycji. Lata przedwojenne przyniosły szereg tomików owej Bibljoteki, którą zawdzięczaliśmy zbierackiej myśli Teodora Wierzbowskiego i jego staropolskiemu miłośnictwu. Nie celowały owe przedruki rzetelnością techniki edytorskiej, zawarły przecież wydania zbiorowe istotnie zapomnianych poetów (Pudłowski i in.) oraz ważne zabytki, choć w kształcie skażonym, dawnego piśmiennictwa, np. szczególnie cenne zbiory tańców i padwanów polskich.

Dziś nad Bibljoteką Kasy czuwa prof. Juljan Krzyżanowski. Dwa te nazwiska — serja I, Wierzbowski i serja II, Krzyżanowski — dobrze ujawniają cały postęp naukowy, jaki się dokonał u nas w technice wydawniczej na przestrzeni lat kilkunastu. Redaktor obecny, jeden z najlepszych znawców literatury dawnej, jako wzorowy wydawca dał się już poznać poprzednio, nietylko z konjektur i sprostowań tekstów cudzych, lecz i przedruków własnych w Bibl. Akademji Umiejętności, Bibljotece Narodowej (tekst „Podstolego") i indziej. Wydawnictwo Kasy, złożone w ręce tak bardzo wytrawne, zapowiada się niewątpliwie jako wysiłek edytorski, daleki od improwizacji naukowej, pomyślany planowo i na dłuższą metę.

Serję drugą zagaiła właśnie „Historja o Barnabaszu" z r. 1571. Doprowadziły wydawcę do tekstu badania nad dziejami dawnej powieści. „Historja" owa jest przeróbką wierszowaną jednej z nowel „Dekamerona" i ustala najwcześniejszą datę przeniknięcia wątków Boccaccia na grunt polski. Nastręcza też dość okazyj do ważnych obserwacyj kulturalnych. Pomysł Boccaccia, który odnajdziemy bez trudu w „Cymbelinie" Szekspira, anonimowy, jak dotąd, tłumacz polski potraktował swobodnie, poświęciwszy morałowi walory estetyczno-literackie. Moralizatorskie oblicze literatury dawnej, które na przykładach najwybitniejszych wskazywał niedawno Piszczkowski, wychyliło się ku nam z jednej jeszcze strony, w jednej jeszcze odmianie, świadcząc o pospolitej powszechności zjawiska. Anonimowy autor „Historji o Barnabaszu", opowiadający ucieszne dzieje pewnego zakładu o cnotę pewnej żony, powiększa poczet pisarzów w. XVI ciekawą osobowością poetycką, o własnym wyrazie lirycznym i rozległych odczuwaniach epickich, oraz słowie, kształconem na dobrych, polskich wzorach.

Dzieje zaginionego pierwodruku „Historji", niemałą popularność noweli, jej prozaiczne potomstwo, a także walory literackie kreśli w zwięzłem przedstawieniu przedmowa wydawcy. (E. P.)

*

Wzięty na wakacje XVII tom „Nauki Polskiej", przybrany w szatę typograficzną powabną i pełną smaku, nie zawodzi: różnorodny materjał książki przynosi dość podniet myślowych, które rozejrzeć należy z uwagą. Wykreślono już na tych łamach linje ogólne perjodyku; organ Kasy im. Mianowskiego przedstawia i formułuje potrzeby oraz organizację nauki polskiej zarówno w stolicy, jak ośrodkach prowincjonalnych, nie zaniedbując żywych kontaktów z ruchem naukowym zagranicą; gromadzi materjały historyczne, które ustalają rozwój idej naukowych w przeszłości; wiele jeszcze uwagi skupia na zagadnieniach psychologji twórczości naukowej, spełniając tutaj w zespole redakcyjnym rolę instytucji badawczej. Zasłużoną ciekawość wywołują w tym zakresie autobiografje naszych uczonych, raz wraz w „Nauce Polskiej" ogłaszane. Tak oto jedyne w Polsce i na świecie pismo, poświęcone rozległej dziedzinie naukoznawstwa, siedemnastym tomem legitymuje użyteczność i powagę wydawnictwa.

Zagaja rocznik prof. Tadeusz Kotarbiński artykułem: „Bacon o przyszłości nauki". Uwagi te, wyrażone z rzadką kulturą literacką, odsłaniają niektóre aspekty wielkiej utopji społecznej Bacona, „Nowa Atlantyda" (1624). Podstawowe jak dotąd dzieło Świętochowskiego: „Utopje w rozwoju historycznym" (1910), zbyło koncepcje Bacona małoważnem, krótkiem streszczeniem. Kotarbiński z „Nowej Atlantydy" znakomitego pisarza wydobył wszystkie pomysły i poglądy, organizujące bardzo ciekawie naukę utopijnego państwa; reformatorskie te plany powiązał silną nicią z całą twórczością Bacona, autora dzieła *„De Dignitate et Augmentis Scientiarum"*, oraz wskazał realne sukcesy tych idej w życiu naukowem Anglji. Rozprawa prof. Kotarbińskiego wygłoszona była jako odczyt w Kole Naukoznawczem; dyskusja, którą znaleźć można na kartach następnych rocznika, rozświetliwszy w niejednem utopijne pomysły filozofa, nadaje wywodom prelegenta wdzięk żywego słowa.

Zaledwie zaznaczyć tu można (z uwagi na bogactwo i obszar treści) ukazanie się zkolei „Studjów nad kulturą naukową w Polsce do schyłku XVI stulecia" Kazimierza Dobrowolskiego. Trzebaby o tej pracy napisać szerzej w związku z plonem syntetycznym lat ostatnich (zjazdu Kochanowskiego, Brücknera), które kulturę staropolską rozjaśniły nowem badaniem. Niechże na teraz starczy wzmianka, że wytrawne „Studja" Dobrowolskiego,—który w szeregu prac treści historyczne wydźwiga na płaszczyzny socjalne, — ukazują stosunek społeczeństwa do nauki w średniowieczu i w. XVI, ustalając precyzyjnie cele i metody poszczególnych nauk humanistycznych i przyrodniczych.

Wśród dalszych artykułów pisma zatrzymuje uwagę czytelnika szkic Jana Augustyniaka: „Życie naukowe Łodzi". Oczami wybitnych organizatorów nauki na prowincji ma być dokonany z inicjatywy redakcji przegląd sił, możliwości i rezultatów naukowych poszczególnych ośrodków prowincjonalnych. Przyszła kolej i na Łódź. „Miasto złe", ugorujące dotąd w sztuce i literaturze, jak ukazywali je Reymont czy Bartkiewicz, w warunkach zmienionych ujawnia ciekawą produktywność organizacyjną na odłogach badań naukowych i zapowiada rozwój w latach przyszłych.

Z kroniki polskiej rocznika wydobyć jeszcze należy skreślone żywem piórem pani Charewiczowej obrazy życia umysłowego w Przemyślu i Tarnopolu oraz ważne szczegóły „Z działalności niemieckich towarzystw naukowych w Polsce", zebrane przez St. Herbsta.

W bogatym dziale recenzyj Artur Górski zdaje sprawę ze szkicu prof. Krokiewicza: „Uwagi o kulturze i cywilizacji starożytnej w związku z kulturą i cywilizacją współczesną". Zarówno dyskusja, którą podejmuje recenzent, jak wywody autora wyzwalają niejedną paralelę historyczną z kręgu rozważanych aktualnie zagadnień kryzysu kulturalnego epoki naszej. (E. P.)

*

Towarzystwo Naukowe w Toruniu wydało ostatnio niezmiernie ważny zbiór dokumentów, dotyczących kampanji pomorskiej Napoleona 1806/7 r. („Źródła wojskowe do dziejów Pomorza w czasach Księstwa Warszawskiego". Część I-a. Zajęcie Pomorza 1806/7 r., podał Janusz Staszewski. Toruń 1933 r., str. 436). Materjały tu podane pochodzą z tek zbiorów gen. Dąbrowskiego, przechowywanych w Bibljotece Narodowej w Warszawie, z papierów po gen. Kosińskim w Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, zakł. prefektury bydgoskiej (Arch. pań. w Poznaniu) i t. p. Składają się na ten tom raporty, nadchodzące do gen. Kosińskiego i Dąbrowskiego, rozkazy przez nich wydawane, raporty do władz wyższych etc...

Kampanja pomorska, uwieńczona zdobyciem Gdańska, jest momentem ważnym w dziejach Pomorza i w dziejach armji polskiej, która podówczas, bez obcej pomocy, sama zajęła prastarą ziemię polską. Dokumenty powyższe dają nam żywy obraz działań świeżo zebranej armji naszej, pod wodzą Dąbrowskiego. (W. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Z książki znanego pisarza I. Boulenger, poświęconej Nostradamusowi („*Nostradamus*“, *Edition Excelsior*), można się dowiedzieć, kim był ów przepowiadacz przyszłości, który się stał postacią legendarną. Prawdziwe nazwisko jego było: Nostra Donna, pochodził z wychrzczonej rodziny żydowskiej, osiadłej w Prowancji, uchodził za czarnoksiężnika, a właściwie był lekarzem, który między innemi zdobywał klijentelę receptami na zachowanie piękności oraz przepisami smażenia konfitur. Proroctwa mistrza Michała Nostradamusa wydane zostały w Ljonie 1555 roku; są one oparte na rozmaitych kombinacjach astrologicznych i t. p. i wyrażone były w zdaniach dziwacznych, które pociągały łatwowiernych osobliwą zagadkowością. Przepowiednie Nostradamusa budziły grozę, gdyż najczęściej przepowiadały rozmaite klęski, jakie mają spaść na ludzkość, (odszukano w nich przepowiednię Rew. Francuskiej, zapowiedź Napoleona i t.p.). Książka Boulenger'a daje, poza osobą Nostradamusa, bardzo ciekawy obraz społeczeństwa i kultury XVI-go wieku we Francji. (W. J.)

*

Jak wiadomo, komunizm w Hiszpanji, aczkolwiek nie czuje się jeszcze na siłach, od czasu do czasu zaczyna już pokazywać swe pazury. Niepokoi to oczywiście nietylko sfery, stojące na gruncie biegunowo przeciwnym, lecz nawet zastanawiających się poważniej nad sytuacją kraju socjalistów, którzy zresztą wzięli faktycznie na siebie całkowitą odpowiedzialność za przyszłe oblicze Hiszpanji. Z równem więc zaciekawieniem, tak jedni jak i drudzy, zwracają się ku świeżo napisanej książce „*Comunismo*“ przez głośnego powieściopisarza Antonio de Hoyos y Vinent. Powieść ta doskonale ilustruje niziny społeczne stolicy hiszpańskiej, Madrytu. Wizja komunizmu, przedstawiona przez tego utalentowanego pisarza, tak jest żywa i barwna, iż pozostawia po przeczytaniu niezatarte wrażenie. Realizm, z jakim przedstawione są typy przedmieścia w ponurym obrazie życia komunistycznego, każe zapomnieć o tem, że utwór autora jest dziełem, w którem tocząca się akcja jest właściwie płodem wyobraźni. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

OSTATNI zeszyt „Grafiki“ poświęcony został Norwidowi. Zgrupowano tu reprodukcje 63 prac rysowniczych poety, w tem tylko dziesięć znanych dotychczas ogółowi. Jest to więc materjał, rzucający nowe, uzupełniające światło na twórczość plastyczną Norwida. Wedle słów przedmówcy, Przesmyckiego, ma być ta kolekcja „rodzajem antologji artystycznej, charakteryzującej główne linje twórczości wielkiego poety, jako rzeźbiarza, malarza, rysownika i grafika“.

Wśród prac reprodukowanych przeważają drobne rysuneczki, notatki, szkice, fragmenty, zarysy pomysłów. Ten rodzaj utworów, nacechowany z natury rzeczy pewną intymnością, daje nieraz możność najbardziej bezpośredniego podejścia do źródeł kształtowania się wizji artystycznej. Tu uderza przedewszystkiem niesłychanie niejednolity poziom rysunków. Obok, po matejkowsku rysowanego, wizerunku „Piłata“ (1861 r.), wprost już tępo kreślona „Głowa Chrystusa“ (1865 r.); śliczny, płynną linją wyprowadzony, profil Marji Kalergis (1847 r.), tęgie zamaszyste „koty“ (1859 r.) i zupełnie brzydka i niezdarna litografja: „*L'echo des ruines*“ z roku 1861-go. Różnice poziomu są tak zasadnicze, że dla wytłumaczenia ich trzebaby jaknajgłębszego wniknięcia w istotę indywidualności artystycznej poety. Zadanie wdzięczne, choć niełatwe.

Zbiór reprodukcyj kończy drobny, lecz niemiły zgrzyt: na jednej stronie Norwid, a na stronicy sąsiedniej mamy... cennik farb wytwórni Antoniego Buszka. Takie rzeczy są zupełnie na miejscu poza tekstem, jako luźna wkładka.

W. Strzemiński, autor artykułu: „Druk funkcjonalny“, pragnie przeciwstawić tradycjom schematów układu drukarstwa renesansowego (w którego atmosferze ciągle jeszcze tkwimy) pojęcia kompozycyjne nowatorów drukarstwa. Zbyt często jednak przytem starym prawdom nadaje miano nowych pomysłów.

Tak np. pisze: „Zrozumiałe, że musi upaść niezachwiana dotychczas zasada jednakowego kroju czcionek w obrębie całego druku“.

Upadała już od dość dawna i dość często; bo właśnie druki renesansowe, którym p. Strzemiński tak kategorycznie usiłuje się przeciwstawić, cechuje niejednokrotnie różnorodność czcionki, np.: mieszanie gotyku z antykwą. A piękne i z tak różnych rodzajów materjału komponowane osiemnastowieczne karty tytułowe druków Grölla?

Wreszcie, tak ulubione kombinacje różnych typów czcionek, w drukach doby romantycznej... O tem wszystkiem p. Strzemiński zdaje się nie wiedzieć, chociaż podejmuje się pisać o zagadnieniach estetyki drukarstwa.

P. Juljan Kot informuje o ukazaniu się pięknej książeczki, dzieła dwu grafików: red. Półtawskiego i Chrostowskiego. Recenzja zajmuje całą stronę, bite dwie kolumny, a niema ani jednego przykładu ilustracyjnego, który mógłby dać świadectwo prawdzie wywodów autora krytyki. Dziś, w czasopiśmie ilustrowanem, jest to już rzecz niedopuszczalna.

Skoro wreszcie „Grafika“ poczęła recenzować piękne druki (i tak obszernie), mamy nadzieję, iż będzie to robiła i nadal, bez względu na to, w jakim stosunku pozostają ich autorzy do redakcji.

W dziale technicznym p. W. Stonawski daje krótki i rzeczowy zarys rozwoju prasy litograficznej, aż do ostatnich maszyn offsetowych włącznie.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

KOMEDJA SZWEDZKA H. BERGMANA

WYSTAWIONA w teatrze Narodowym komedja H. Bergmana „Testament jaśnie pana“ ogólnie się podobała.

Zainteresowanie budzi sam obraz życia szwedzkiego, na którego tle odbywa się akcja. Rzecz dzieje się w zamku bogatego szlachcica i on jest główną postacią komedji, wszakże wplątany jest świat służby zamkowej. Równorzędną, dużą rolę z jaśnie panem odgrywa kamerdyner. Pan miał romans ze służącą i uważa jej dziecko za swoje. Tej panience (postać napół ludowa) zapisuje cały majątek, a walka z rodziną o testament stanowi wątek komedji.

Robota literacka po szwedzku solidna, rozmaitość typów duża. Efekty ważą się na szali: starość i młodość, w przeciwieństwie doskonale wyzyskane. Komedja Bergmana, jako obraz, nosi na sobie widoczne znamiona wyobraźni, kształconej na sagach staroskandynawskich. Bajka o wielkim panu, bogaczu i biednych sierotach.

Kształt sztuki nowożytny; jest to teatr z epoki kina, z kinem rywalizujący. Więc odsłon 11 z coraz zmienianą dekoracją, co na scenie obrotowej jedynie jest możliwe. Spektator za parę złotych ma używania do przesytu i namyśli się dobrze, czy warto wogóle chodzić do kina. Szwedzi znają się na interesie.

Reżyserja (p. Ziembińskiego) bardzo dobra, dekoracja (Frycza) wyśmienita, a gra artystów nad wszelką pochwałę. Główną i wielką rolę magnata podniósł na szczyty artyzmu Junosza-Stępowski; rzadko daje się widzieć coś podobnego. Stępowski rozparł się z całą wygodą, nie dbając, czy się komu śpieszy, i robił koncert. Ale nie był solistą, bo miał nie bylejakich partnerów. Znalazł się, jakiś przedziwny aktor, Michał Znicz, który grał nieodstępnego kamerdynera. Był to wtór przepysznie dostrojony do Stępowskiego. Nowością również, którą Warszawa jeszcze się nie nasyciła, jest p. Jadwiga Andrzejewska. Grała podlotka prześlicznie. Chłopcem przemiłym był p. Ziembiński. Doskonała była w roli siostry magnata p. Czaplińska. Potem następują: pp. Justjan, Dominiak, Michalak, Jarszewska...

Przekład Jerzego Kossowskiego oczywiście doskonały.

Z. W.

OFENSYWA

UGODA Z AGUDĄ

NA krótko przed wyborami do Sejmu, w październiku r. 1930 wystosował premjer i prezes p. Walery Sławek do bł. p. rabina Eljasza Kirschbrauna w Otwocku następującą epistołę:

„Szanowny Panie! — Ceniąc wysoko nasz, oparty na wzajemnej lojalności stosunek w pracy politycznej, który według mojego przekonania był znacznym krokiem, zbliżającym nas do należytego ułożenia współżycia między Państwem Polskiem, a ludnością żydowską, pragnę i obecnie postawić pańską kandydaturę z listy państwowej do Sejmu. Nie miałem możności porozumieć się wcześniej i dlatego przez specjalnego kurjera piszę do WPana i proszę go o wyrażenie swojej zgody. Wyrazy prawdziwego poważania łączę (—) Walery Sławek".

Od tego dnia zaczyna się *entente cordiale* z ortodoksami, z Chassidim (pobożny). Przedtem, przez długie lata, bo od sierpnia r. 1914, była tylko przyjaźń, kurtuazyjne gesty i poczynania, telegramy, hołdy, flirty. Od października r. 1930 formalna ugoda z Agudą, Sanacja - Brith, sztama. Nic w tem specjalnie oryginalnego. Precedensów przytoczyć można wiele. Ściskał się ongiś z rabinami stary Metternichoski, Bobrzyński, a podczas okupacji pruskiej Beseler także zapraszał tych swoich przyjaciół na herbatki. Nic tedy dziwnego i ekscentrycznego w tem, że pan Walery napisał taki list z oświadczynami, a książe Janusz w te pędy pognał do któregoś z rabinów warszawskich. Naogół nawet biorąc, *haortodoxim* bywają o 80% sympatyczniejsi, zaś z punktu i państwowego i narodowego dodatniejsi i znośniejsi. Bądź co bądź trzymają te czarne sotnie swego czarnego ludu w jakichś karbach i ryzach. Cuda cadyków są raczej nieszkodliwe a kostjumy, obyczaje, rytuały, ceremonje barwnie malarskie, teatralnie efektowne... Dla kulturalnego, artystycznego oka obraz chassydów, w piątek wieczorem zmierzających tłumnie do starej Kazimierzowskiej synagogi, daje tysiąckroć więcej satysfakcji moralnej i emocji artystycznej od wielkomiejskiego *meeting*'u, z rojowiskiem wrzeszczących, rozbestwionych, pianę z pysków toczących, kilometr kwadratowy powietrza zasmradzających rewizjonistów, rozwścieczonych politycznie. Można mimowoli uchylić kapelusza przed siwowłosym, długobrodym, w wytarte stare jedwabie i lisie futerka ubranym rabinem z Bełżyc, Mościsk czy Pacanowa, podczas gdy znów, czytając aroganckie monologi nowomodnego rabbi dr. Ozjasza Thona, mimowoli szuka się gdzieś pod ręką szpicruty.

Trochę zabawna wszakże sytuacja zaczyna się od chwili, kiedy taka ugoda z Agudą zaczyna obowiązywać także tak zwanych dziś modnie *clerc*'ów czyli intelektualistów, chorążych oświecenia, rycerzy kultury zachodniej, trębaczy wolnej, niezależnej myśli, wojowników postępu, pogromców ciemnoty, obnosicieli światła, Lucyferentów. Albo się bowiem jest liberałem i racjonalistą i wtedy mieczem czy rapierem pióra ścina się wszystkie chwasty jakiegokolwiek, gdziekolwiek obskurantyzmu, albo się nim nie jest. Jeżeli się zaś jest światłonościami tylko w jedną stronę, w jednym kierunku, jeżeli się Dyogenesowskiemi latarkami oświetla tylko pewne, wybrane *ad hoc*, wskazane, nakazane... czeluście, zakamarki i piwnice tego obskurantyzmu, to się wzbudza usprawiedliwione chyba podejrzenie, że się jest: daltonistami, względnie wynajętą, zakupioną, szturmową bojówką, względnie l i b e r a ł a m i w l i b e r j i, z byłych farysów aktualnie faryzeuszami.

Otóż takie wrażenie „farysów na emeryturze" zaś aktywnych faryzeuszów muszą robić na bezstronnym widzu i czytelniku ci nasi proputczykowie Elity, którzy walczą z tak zwanym Ciemnogrodem. Tam na Zachodzie wszędzie, gdzie tacy „eklererzy", tacy witezie i rycerzyki Królewnej Prawdy działali i działają, tam ani tak olbrzymi procent semitów nie wmieszkał, nie zagnieździł się, ani w tym procencie tak olbrzymiego odsetka Chassidim niema. Żadnego niema. Agudy niema. Nie istnieje. Zagraniczni turyści oglądają ją u nas jako coś czarująco egzotycznego, jako jakąś jakby odmianę szamanizmu, niekiedy nie wierzą oczom, że coś podobnego istnieje w Europie w XX wieku. Jeżeli się teraz pamięta definicje żydostwa Woltera czy Balzaca, można sobie wyobrazić, z jaką pasją i furją oświeciciele i wolnomyśliciele francuscy z okrzykiem *ecraser!* rzuciliby się i na taką... *culotte*... Nie pardonując chrześcijaństwu, jednak równocześnie wszelkiemi siłami intelektu zwalczaliby klerykalizm, dewocję, zelotyzm Chassidim.

Całkiem inaczej poczynają sobie nasze waleczniki. Czy to będzie *carbonaro* Rzymowski, czy *Freidenker* Hulka Laskowski, czy taki pan Skiwski, Boy, Słonimer, Syruczek wszyscy oni widzą ten Ciemnogród, który opisywał St. K. Potocki, a nie raczą dostrzec tego, o którym już nas alarmowali Staszic i Niemcewicz. Cała ta kompanja kręci nosem nad biskupem kieleckim czy łomżyńskim, a nic nie słyszeli o radomskim Kestenbergu czy rabbim Kanale (*sic*). Dla tych „cyrkowników" Elity istnieją „złocone pałace Watykanu", a nie istnieje *Wall - Street* i złota międzynarodówka Shylokracji. Góra Kalwarja to dla nich Tabu. Jak nie śmią tknąć nigdy żadnego kacyka, tak także żadnego cadyka. Ciemnogród tej rasy, która wydała jednak Centnerszwera, Mortkowicza i stu innych nakładców i wydawców różnych dzienników i tygodników i Ciemnogród tej rasy, która już omal wyłącznie dostarcza literaturze czytelników i snobów, taki Ciemnogród ma swój „immunitet" zapewniony... Pirożyństwo można gasić bez ryzyka, bo Pirożyństwo nie ma ni księgarń, ni krytyków, ni recenzentów. Cadyki są nietykalne, jak nietykalne: Jom Kippur, ubój rytualny, nie dostarczanie zwłok do prosektorjów, czarny kogut, czarne świece, odrutowanie miast (*eiruw*), Sadogóra, cherem. Takiego „liberała w liberji", jak p. Rzymowski (niezdejmujący żałoby po Matteottim) drażni nawet austrjacki *piccolo - maiordomo* Dollfuss za to, że pozamykał w Wiedniu jaczejki bezbożników. Ale wandalizm Meksykanów wczoraj lub Hiszpanów dzisiaj ni humoru ni apetytu p. Antyrzym - owskiemu nie psuł jako żywo nigdy, tak jak mu nie zepsuł ni Brześć ni pacyfikacja... senatów uniwersyteckich.

Takich to Lucyferentów, oświecicieli ma nasz Ciemnogród ultramontański. Widzą źdźbło w oku każdego księdza, ale nie widzą belki w mykwie, gdzie się kąpią rytualnie ich wielbicielki. Nawet dla *decorum*, dla ratowania pozorów żaden p. Skiwski *vel* Syruczek nigdy ani fanatyzmu, ani ciasnoty, ani przesądów, ani wstecznictwa, ani zabobonów, ani „władztwa ciemnoty" u Chassidim nie dojrzą. Tak to przesadzają w posłuszeństwie i w rygorze Cyrkownicy Elity *ad maiorem Judaei gloriam*.

Czy atoli „liberałom" w tej liberji do twarzy, to rzecz inna.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,
Jej dzieje... w twierdzach i więzieniach...".
(Adam Mickiewicz: „Dziady cz. III" sc. VII. Salon warszawski).

*

„...wyroki i kary tylko fizycznie dotknąć nas mogą, dziadów i ojców naszych narodową powinność więzienną kontynuować będziemy bez żalu i urazy, z głębokiem przeświadczeniem, że Wolnej. Zjednoczonej i Niepodległej służymy Ojczyźnie".

(Urywek z listu legjonistów polskich, uwięzionych w Huszt w r. 1918 za odmówienie posłuszeństwa władzom austrjackim).

*

W świecie dziennikarskim wiele się mówi o skandalu, jaki się zdarzył w pewnym dzienniku sanacyjnym. Oto redaktor, kładąc tytuł nad komunikatem, napisał: „Dorzynki", (zamiast „Dożynki").

Dochodzenie dyscyplinarne ustaliło, że zrobił to z niepoczytalności ortograficznej.

*

Prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, gen. Górecki, po dłuższym pobycie w Londynie, bawi obecnie w Belgradzie. Stąd uda się do Paryża i Casablanki. Ciężkie obowiązki, związane ze stanowiskiem prezesa *Fidac*'u, nie pozwalają mu na dłuższy pobyt w Warszawie. Jest to zato wyjątkowy przedstawiciel obozu sanacyjnego, któremu okoliczności pozwalają zaznajomić się historycznie z dziejami wielkiej wojny, według opowiadań kombatantów, walczących po stronie koalicji.

*

Dawniej mówiono: „*Disce puer, faciam te Mości Panie*". Ale jakże czasy się zmieniają! Teraz ci, co w młodości brali udział w strajku szkolnym, według projektu klubu BB zasiądą w Senacie; oni bowiem przedewszystkiem są kawalerami Krzyża Niepodległości.

TREŚĆ:

Chłop polski *J. Petryckiego.* — Motywy działania gospodarczego *J. Prusa.* — Kartka z dziejów rosyjskiego wychowania państwowego w Polsce *St. Surzyckiego.* — Piewca kobiecości *T. Parnickiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Nauka i literatura („Ks. Henryk Brémond" *S. G.* i t. d.). — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Teatr *Z. W.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA PPOCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.